

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 31-go marca—7-go kwietnia 1945r.

Rok VII. Nr. 13-14

PRAWDA ZMARTWYCHWSTANIE

Bo oto idą dni Zmartwychwstania
I zmartwychwstaną ci wszyscy,
Co tej złocistej chwili zarania
Z wiara czekali.

Jan Kasprowicz

Dzień Zmartwychwstania Pańskiego był dla nas podczas tej wojny zawsze sposobnością do krzepienia wiary w zwycięstwo naszej słusznej Sprawy i wyrażania nadziei, że chwila wyzwolenia jest już niedaleka. Dziś — jeśli chcemy być rzetelni względem samych siebie — słowa te mogą nam przejść przez usta jedynie z największą trudnością. Powstała sytuacja wręcz paradoksalna: teraz, właśnie teraz, gdy prawie cała Rzeczpospolita jest już wolna od Niemców, gdy na ziemiach naszych stoją wojska sprzymierzeńca naszych Sprzymierzonych, wobec którego wykazaliśmy lojalność i pojedynność aż do granic samozaparcia — niepodległość nasza jest bardziej zagrożona, niż kiedykolwiek dotychczas od roku 1939.

Pamiętam wszystkie Święta Zmartwychwstania w kraju, aż do roku ubiegłego włącznie. Pamiętam dobrze pierwsze Zmartwychwstanie. Już wtedy prawdziwy charakter okupacji niemieckiej i zamiar całkowitego wyniszczenia narodu polskiego — dla nikogo nie ulegał wątpliwości. Wiedzieliśmy o tym dobrze, każdy z nas mógł każdej chwili oczekiwać swojej kolei męczeństwa, a jednak nikt nie tracił nadziei. Niemyłym instynktem, gdy wszelkie rozumowania zawodziły — odczuwaliśmy wszyscy, że okupacja niemiecka w Polsce będzie w historii naszej może najcięższym, ale niewątpliwie krótkotrwałym epizodem. Walczyliśmy z Niemcami, pełni wiary w nasze zwycięstwo i ufni w słowo naszych Sprzymierzonych.

Rok temu stanęliśmy przed niebezpieczeństwem z drugiej strony. Stosunki polsko-sowieckie były nadal niezadawalające. Tymczasem stało się rzeczą jasną, że w ostatniej fazie wojny cała Polska zostanie zajęta przez Armię Czerwoną. Zналиśmy już wydarzenia ponownej sowieckiej okupacji części naszych Ziemi Wschodnich. Wiedzieliśmy o szubienicach rosyjskich, na których na Wołyniu zawisli żołnierze Armii Krajowej, wrażenie jednak tej wiadomości łagodziła znajomość późniejszego układu Dowódcy Okręgu Wołyńskiego A.K. i zarazem 27 Dywizji Piechoty z Dowództwem Sowieckim. Układ ten, odkładając rozstrzygnięcie spornych zagadnień politycznych na przyszłość — formułował zasady ścisłej współpracy operacyjnej polsko-sowieckiej w walce przeciwko wspólnemu wrogowi. Tym samym Sowiety uznały faktycznie istnienie na ziemiach Rzeczypospolitej — Armii Krajowej, jako części Polskich Sił Zbrojnych, podporządkowanych prawowitym władzom polskim.

Mieliśmy pełne prawo sądzić, że układ ten, przypieczetowany już przez nas krwią i okupiony niebawem, tuż po Świętach Wielkanocnych, śmiercią bohaterstwa Dowódcy 27 D.P. Armii Krajowej — zostanie dotrzymany. Napawało nas to otuchą, że trudna — po świeżych doświadczeniach okupacji sowieckiej z lat 1939/41 i ostatnich kłopotach polsko-sowieckich — decyzja ujawnienia wobec Rosji przez wspólną walkę całego aparatu naszego Państwa Podziemnego — jest celowa i owocna. Mogliśmy przypuszczać, że

W SZÓSTE ŚWIĘTA OBCHODZONE NA OBCYZŹNIE I W TAK CIĘŻKIEJ CHWILI "POLSKA WALCZĄCA" DZIELI SIĘ ZE SWOIMI CZYTELNIKAMI, WSPÓŁPRACOWNIKAMI, PRZYJACIÓLAMI NIEZACHWIANA WIARA W RYCHŁE ZMARTWYCHWSTANIE POLSKI DO WOLNEGO ŻYCIA W WOLNEJ EUROPIE I WOLNYM ŚWIECIE

nieufność sowiecka, wywołana chyba tylko świadomością krzywdy poprzednio nam wyrządzonej — przyśnie w toku boju i ustąpi miejsca przyjaźni pomiędzy współtowarzyszami broni.

Oczywiście, musieliśmy się liczyć i liczyliśmy się z tym także, że wspólna walka nasza przeciwko Niemcom może nie usunąć wszystkich trudności polsko-sowieckich; wiedzieliśmy przecież dobrze, że istotą sporu polsko-sowieckiego jest nie zagadnienie granic, dla Rosji zgoda drugorzędne, ale sprawa naszej niepodległości. Wierzyliśmy wszakże, że przy poparciu naszych Sprzymierzeńców Zachodnich, których dobra wola i stanowczość były dla nas niezachwianym pewnikiem — zachowamy rzeczywistość wolne i suwerenne Państwo Polskie.

Wbrew wszelkim oszczerstwom muszę tu stwierdzić z całą stanowczością, że nikt odpowiedzialny w Kraju nie liczył na anglosasko-rosyjski konflikt zbrojny, powstały na tle naszej sprawy. Tę możliwość wykluczaliśmy bezapelacyjnie z naszych rozważań. Nie sądziliśmy zresztą, aby taki konflikt był w ogóle potrzebny. Żyli-

śmy przekonaniem, że stanowca, a kiedy trzeba będzie — twarzą obrona naszych praw przez aliantów, wynikająca z zaciągniętych względem nas zobowiązań — w zupełności wystarczy.

Tak się złożyło, że w okresie zesłorocznej Wielkanocy naprzyłem się cierpieniom i śmierci ludzkiej. Nie jest to widok krępujący. A jednak ani przez chwilę nie wątpiłem, że nasze nadzieje i rachuby — są słuszne. Dziś, po roku — jakżeż odległe się wydają tamte czasy, straszne czasy i wspaniałe czasy cierpienia, walki i nadziei.

Opanowuje mnie niepokojąca myśl, że tu na obczyźnie — straciłbym nawet zdrową zdolność sprawiedliwego oburzenia. Przecież to, co się dzieje obecnie w Polsce — jest jedną wielką zbrodnią, zbrodnią tym straszniejszą, że niemal niema i zamazywaną przez to, co mianuje się opinią i sumieniem świata. I tylko od czasu do czasu — z ziemi umęczonej zdoła dolecieć tutaj, do "białych skał Dowru" krzyk pełen rozpacz.

A jednak wiem — piszę w tej chwili najszczerzą prawdę — że tam w kraju, gdy zabrzmią dzwo-

ny Wielkanocne, serca wszystkich zabiją wielką nadzieją i wielkim, nieskończone cierpliwym oczekiwaniem przyszłego Zmartwychwstania w prawdziwie wolnej Polsce.

I nam nie wolno tracić tej nadziei. Mamy czyste sumienie. Nie wierzę, gdy Wam mówić będą, że popełniliśmy wielkie błędy polityczne, których wynikiem jest obecna nasza ciężka sytuacja. Sytuacja ta powstała poza nami, wbrew nam i ponad nami.

Zasadnicze nasze decyzje polityczne były trafne. Władanie Niemiec w Europie byłoby dla naszego narodu zagładą. Szczęśliwie przeto odrzuciliśmy kuszące propozycje koalicji przeciwrosyjskiej. Słusznie podjęliśmy narzuconą nam przez Niemców wojnę i stanęliśmy po stronie sił, których zwycięstwo przewidywaliśmy wbrew wszelkim rozumowaniom i poglądom wielu świeższej daty sojuszników. Podczas wojny walczyliśmy i walczymy ponad wszelkie pochwały.

Wobec Rosji wykazaliśmy niespotykaną niemal pojedynność i ustepliwość, mimo strasznych krzywd, które nas od niej spotka-

ły. W niepewnej sytuacji politycznej — nie zawahaliśmy się udzielić Armii Czerwonej całej, na jaką nas było stać w kraju, pomocy w walce przeciwko Niemcom. Nikt nie może nas winić o to, że w pojedynności naszej nie zeszliśmy do spodenia. Powiedzieliśmy: NIE dopiero wtedy, gdy stało się rzeczą jasną, że w zamian za dalsze ustępstwa — nie otrzymamy praktycznie nic i że wobec tego nie mają one żadnego sensu.

Dziś widzimy wyraźnie, że sprawa nasza jest ściśle związana ze sprawą całej Europy. Jeśli panoszyć się nad nią będzie brutalna przemoc — nowy kataklizm wojenny jest nieunikniony. Uważamy, że można go zażegnać jedynie przez szczerą współpracę międzynarodową. Wstępem do niej musiałoby być poszanowanie praw i zaniechanie jednostronnych, narzuconych siłą rozstrzygnięć. Od zrozumienia ważności tej zasady przez wolny świat — zależy nasza dalsze losy.

Gdy piszę te słowa, przypomina mi się pożegnanie czytelników przez Redaktora "Biuletynu Informacyjnego" /organu Armii Krajowej, najpoczytniejszego pisma w kraju/, pisane i wydrukowane w Warszawie w dniu 4 października 1944 r., w ostatnim dniu wolności naszej stolicy:

"Pierwszy numer "Biuletynu Informacyjnego" ukazał się 5 listopada 1939 r. Dziś wydajemy ostatni numer powstańczy.

Byliśmy pismem Armii Krajowej. Czuliśmy się pismem całego walczącego Narodu. Z najlepszą wolą i uporem staraliśmy się być sługami prawdy, uczciwości, rozsądku. Usiłowaliśmy torować drogę ku Polsce - jutra: demokratycznej i sprawiedliwej społecznie, potężnej kulturą, zdrowiem gospodarczym i narodową jednością.

Być może nie byliśmy efektywni. Studzieliśmy nieuzasadniony optymizm. Równocześnie jednak przeciwdziałaliśmy się bezpłodnemu pesymizmowi; zbyt wielką wagę przykładaliśmy do odpowiedzialności za słowo, sąd i radę. Mieliśmy ambicje raczej wychowawcze, niż propagandowe. Dostąpiliśmy tego szczęścia, iż opinia publiczna okupowanego kraju darzyła nas szczególnym zaufaniem.

Dziś przerywamy pracę. Wznowimy ją, Bóg da, w Niepodległym Państwie.

Niezawodnym towarzyszom pracy: drukarzom, kolporterom i kolporterom mocny uścisk dłoni.

Czytelnikom, oddanym przyjaciołom z konspiracji przypominamy zdanie Kasprowicza, które tyle razy widzieli na czele naszych tajnych numerów:

"Błogostawieni, którzy w czasie gromów nie utracili równowagi ducha".

Te krótkie, jakżeż proste i jasne zdania, są nieomal testamentem Armii Krajowej. Trzeba je stale powtarzać. W czasach, gdy "wolnością" nazywa się niewola, "niepodległością" — podbój, a "demokracją" — tyranie; gdy hasłem walki z wyzyskiem pokrywa się największy wyzysk człowieka. W czasach straszliwego załgania pojęć, potwornej dyktatury kłamstwa — trzeba dążyć do Zmartwychwstania Prawdy, jako do ostatniego ratunku. Walczymy o Polskę, ale walka ta jest jednocześnie walką o oparcie stosunków pomiędzy ludźmi i narodami — na prawdzie i uczciwości.

Dnia 21.III.1945 r.

linoryt JERZEGO FACZYŃSKIEGO

ANDRZEJ POMIAN



KORPUS POLSKI WE WŁOSZECH

NIECIERPLIWE PYTANIA

—Jakie są pana wrażenia z pobytu w Drugim Korpusie? — oto pytanie, z którym stykam się stale po powrocie z frontu włoskiego.

—Widzi pan /względnie "pani", "widzisz", i t.p./ to nie jest takie proste. Weźmy na przykład... — zaczynam odpowiedź.

Pytający macha niecierpliwie ręką. On nie chce od niecierpliwca zacytować. Żąda natychmiastowej, zwięzłej — i powiedzmy sobie szczerze — uproszczonej odpowiedzi.

—Czy to wojsko jest bardzo zmęczone? Czy to prawda, że nie chce się tego bić?

—Skądże — zaprzeczam żywo. — Nie jest na tyle zmęczone, aby...

—A więc, pienie pragnieniem dalszej walki? — uśmiecha się ironicznie ten ktoś, kto jest niecierpliw i nie lubi długo myśleć.

Jakże tu wytłumaczyć, że pomiędzy zupełną rezygnacją, a t.zw. żądzą boju jest jeszcze ogromny wachlarz odcieni, jest niesłychanie duża skala setek, czy nawet tysięcy przeżyć i poglądów, refleksji i wniosków? Ze niekiedy nie trzeba stać na stanowiskach biegunowo sobie przeciwnych, że wiele męki i niepewności musi przejść dusza żołnierza, aby dobrać narezek do decyzji, która będzie obowiązywać i stanie się podstawą działania.

Zdenerwowani ludzie londyńscy nie zawsze chcą i potrafią to zrozumieć. Daleka bowiem i długa jest droga z Londynu do Drugiego Korpusu. Nie tylko dlatego, że Włochy są odległe o sporą ilość mil od Wielkiej Brytanii. Drugi Korpus bowiem nie da się zamknąć w pojęciu Włoch, jako kraju i w pojęciu Włoch, jako pół bitewnych. Dusza Drugiego Korpusu, to coś więcej, to coś dużo więcej niż odległość i dzisiejszy front. To także śledztwa, więzienia i lagry, to także arcydługie podróże poprzez Irak i Iran, czasem Afganistan i Indie, poprzez Palestynę i Egipt, to także pustynne hamisiny, miesiące, prawie lata, pod namiotami, tęsknota i oczekiwanie.

Drugie Korpus to jest również Libia i Tobruk, El Alamein i Ghazala, spotkania z *Afrika Korps*, romantyczne dzieje "Ósmej Armii", setki patrolów w żółtych wydmach piaskowych, epepa poświęceń i odwrotów, zmęczenia, skradzionej piosenki o "Lili Marlene". I Drugi Korpus, to też — o czym nie zawsze się pamięta — zbuntowana, rozgoryczona Szkocja, która nie chciała dłużej czekać. Szkocja, która dusiła się i dłała pomiędzy *fish and chips* i *two double nice whisky*, pomiędzy natarciem w założeniu, a takąż samą w założeniu obroną. Szkocja, która w pewnej chwili wątpiła w bliskość jakiegokolwiek zwycięstwa, która nie przeczuła Falaise i Chambois, nie wyczarowała w wyobraźni Arnheim i Bredy. Ta Szkocja, która powiedziała sobie: "Dość już tego wszystkiego. Chcemy ruchu, przygody... i szybkiej akcji".

"KOLONIŚCI" EMIGRACJI WOJENNEJ

To jest właśnie Drugi Korpus. Z takich elementów się składa. I o tym trzeba wiedzieć przede wszystkim, gdy się chce znaleźć odpowiedź na pytanie: co myślą "oni" w tej chwili o naszej sytuacji? "Oni", a więc ludzie wyciągnięci z objęć ponurej i powolnej śmierci, ludzie pustynnych piasków i ludzie niespokojnego ducha. Tacy, można powiedzieć, dalecy koloniści wojennej polskiej emigracji. Tacy amerykańscy Angliści XVI-ego i XVII-ego wieku — w polskim i dwudziestowiecznym wydaniu! — którzy z powodu dziwnych zbiegów okoliczności znaleźli się na "rubieżach" oficjalnej naszej myśli i urzędowych naszych działań.

To przebywanie na peryferiach sprawy, iż ludzie we Włoszech na ogół bardziej liczą na możliwości polskiego Londynu, niż tenże Londyn liczy na siebie. To przebywanie na peryferiach sprawy też, że wiadomości czadają się raczej za późno. Że — zdamyś — nie zawsze są matematycznie ścisłe. Oto są wady peryferii. Oto ich ujemne strony i cechy uciążliwe.

Ale peryferie mają też i swoje zalety. Ustrzeżły się przed ner-

wością niespokojnego rozstrząsania każdego drobniaczka. Przed wyciągnięciem wniosku z opinii angielskiej właścicielki domu, czy też angielskiego brukowego pisemka. Uchroniły się przed "pewną wiadomością z dobrego źródła". Zabezpieczyły się przed naiwną plotką, która tak bezkarnie hula w londyńskich antyzambrach. Stąd też, pomimo odległości, pomimo właśnie prowincjonalności, Drugi Korpus ma nieraz lepsze rozeznanie spraw.

"MALEŃKA POLSKA"

Myliłby się jednak ten, kto by tylko w odległościach, peryferiach i prowincjonalności szukał przyczyn różnic. Przyczyna ta jest głębsza i bardziej uzasadniona.

—Ujrzy pan tu u nas jakby miniaturę Polski, jakby taką maleńką Polskę, przeniesioną do tego kraju — powiedział generał Władysław Anders, gdy meldowałem się u niego na wstępie mojej włoskiej wyprawy.

Uśmiechnąłem się wówczas — mówiąc szczerze — dość powątpiewająco. Przecież — pomyślałem sobie — wszędzie, gdziekolwiek są Polacy jest także i "maleńka Polska". W kompanii wojska, zagubionej w niepozornym, szkockim miasteczku. W podrzędnej filii londyńskiego urzędu, ukrytej gdzieś w zakamarkach Victorii. W redakcji pisma, w zespole teatralnym, w stowarzyszeniu takim czy innym. A cóż dopiero mówić o "maleńkiej Polsce", która jest całą dywizją, głośną zwycięstwami, dywizją walcząca o długich miesiącach we Francji, w Belgii i w Holandii?

—To są też "maleńkie Polskie", panie Generale — powiedziałem z urazą.

Generał uśmiechnął się.

—Zobaczy pan różnicę. Różnicę zacząłem widzieć bardzo szybko. Nie mogłem jej nie dostrzec, rzuciła się w oczy w każ-

dym m.p. oddziałów Korpusu, w każdej jego komórce. I na pewno na każdym kroku.

Różnicę tę stanowi, przede wszystkim liczba i jednolitość środowiska, pozieranego ze wszystkich stron świata.

Przestrzenie dały Drugiemu Korpusowi szeroki oddech. Ciągły ruch dał rozczucie. Zwycięstwa — poczucie własnej wartości. Liczba kilkudziesięciu tysięcy ludzi — świadomość własnego znaczenia. A więc to wszystko czego nie ma w tym stopniu wojsko w Szkocji, ćwiczące i reorganizujące się wciąż w tych samych hrabstwach. To, czego nie ma londyński Polak, siedzący nieustannie w coraz mniej gościnnym Londynie. Czego mieć nie potrafi nawet sławna Dywizja na zachodnim froncie, będąca tylko wysepką w morzu alianckiej ofensywy. Wysepka ważna, lecz nie wielka.

"Maleńka Polska" na Bliskim Wschodzie — bo Drugi Korpus, to nie tylko Włochy — nie jest wysepką. Jest całością, która zaczyna się gdzieś w Egipcie, czy Palestynie, a kończy się na najdalej wysuniętych stanowiskach włoskiego frontu. Stąd też komórki tej miniatury Kraju nie są przybudówkami, czy przyczepkami do czyichś cudzych urzędów. Stąd też teatry nie są "żywym polskim słowem", ale normalną sceną, taką jak wszędzie w prawdziwych krajach. Stąd polskie napisy i tablice na drogach nie budzą zdumienia i nie rozczulają do łez, trudno jest bowiem zdumiać się na przestrzni setek kilometrów, a jeszcze trudniej zraszać drogi tej długości trawnymi zraszcami. Stąd polskie hotele są po prostu hotelami; polskie domy wypoczynkowe, szpitale, kolonie dla ozdrowieńców, szkoły w Egipcie, czy w Afryce, kluby Imki i t.d. — tworzą rzeczywistość obraz i a nie wyraz. Wycieczki życia, a nie symbol.

POCZUCIE WŁASNEJ WARTOŚCI

Zresztą, cóż mówić o polskich teatrach, czy polskich hotelach we Włoszech. Przecież tam była nawet polska "prywatna wojna" z Niemcami. Cała kampania adriatycka, ze zdobyciem Ankonę włącznie, była samodzielną wojną Drugiego Korpusu, powstałą z polskiej inicjatywy, prowadzoną na podstawie wyłącznie polskich pomysłów i planów. Wojną, w której po tej, alianckiej stronie frontu siedzi żołnierz polski bez jakiegokolwiek pomocy na szerszą skalę.

Czyż dziwić się więc, że w tych warunkach Drugi Korpus wyhodował wśród siebie wiarę we własne siły, że strzegł się nie w sobie zwątpieniami, że nie ma w sobie — tak jak dość często my na zachodzie — poczucia niższości wobec innych. Ież to razy powtarzaliśmy wśród nas ostrzegawczo: "obcy na nas patrz", lub: "to czy tamto nie podoba się Szkotom", lub "co Angliści o nas pomyślą?"... Jakże często nasładowaliśmy nieudolnie cudze zwyczaje i obyczaje, nie rozumiejąc ich treści i sensu...

Drugie Korpus przeważnie z niczyjej gościnności nie korzystał. Jedyna, przez którą większość jego żołnierzy przeszła, była gościnność osoby, ponurą i makabryczną. Za tę gościnność na pewno nie trzeba dziękować... Drugi Korpus do nikogo nie musiał uśmiechać się przymilnie ani też nikomu prawić komplementów. Prawda jego niezależności, jego ważności i udziału we wspólnej walce przeciw wspólnemu wrogowi była zawsze tak oczywista, że nikt by jej tam, na śródziemnomorskim teatrze wojny nie ośmielił się poddać w wątpliwość. Że nikt nie zdobyłby się na nieprzyzwoitość wyliczania, ile funtów wydano na ten Korpus, i kto je będzie w przyszłości zwracał.

Może więc sobie Drugi Korpus pozwolić na nieszybką w dzisiejszych czasach zbytek: na dumę narodową. Manifestuje się ona nie w szorstkości, nieobyczajności, czy zgroźtu, a głośnie. Nie w taniutkich, a prostych wykrzyknikach. Duma narodowa Drugiego Korpusu wyraża się w spokojnej, pełnej godności postawie. W ściągnięciu nerwów w cugle. W wykonywaniu zobowiązań, pomimo że kto inny tych zobowiązań nie wykonał. W dotrzymywaniu słowa, pomimo że kto inny tego słowa nie dotrzymał.

I w wierze. I w optymizmie. Na czym opiera się wiara? Gdzie jest źródło optymizmu?

Nie jestem żołnierzem Drugiego Korpusu. Byłem tam krótko i nie mam prawa w imieniu tego Korpusu zabierać głosu — uzasadniać wiary tamtych ludzi, uzasadniać ich optymizm. Ale przypominam sobie dwie, jakże charakterystyczne, rozmowy.

DWIE ROZMOWY

—... a jeśli nie wrócimy do tej Mejszagoly? — zapytałm któregoś dnia starszego strzelca z batalionu "Zbików". Dywizji Kresowej. "Kresowy Żbik" bowiem rozsnuł przed moimi oczami projekty "wileńcówkiej" przyszłości, odbudowy i unowocześnienia swego gospodarstwa /znajdującego się właśnie pod tą Mejszagolą/, zastosowania jakichś tam niesłychanych ulepszeń, podpatrzonych niegdys w przemysłnych chaluców w słonecznej Palestynie.

—Dlaczego Palestynie nie wrócisz? — rzucił się st. strzelec na mnie z furją. — Ja nawet do siebie takiej myśli nie dopuszczam. Boga by nie było chyba na niebie i tej odrobiny sprawiedliwości na ziemi, gdyby mi mieli nie wrócić.

W parę dni później rozmawiałem z pułkownikiem Klemensem R., który opowiadał mi o walkach pod Monte Cassinó.

—Najdziwniejszym obrazem, jaki pamiętam z tej akcji — mówił pułkownik — był widok płaczących żołnierzy. Jeden z naszych plutonów doszedł pod same niemieckie bunkry i... zabrakło mu amunicji. Żołnierze zaczęli chwycić kamienie i rzucić je w kierunku bunkrów. Rycieli i plakali przy tym jak dzieci. Ze złości, wściekłości, że oto tak blisko dotarli do nieprzyjaciela i są wobec niego bezsilni...

—Histeria — przerwał pułkownikowi.

—Być może, proszę pana. Może histeria. Ale, panie, oni ten bункier zdobyli!

—Czym? Kamieniami?

—Nie, drogi panie, kamienie i żyły by wściekłości. Potem przyszła amunicja. Chodziło o to, aby te amunicji się doczekać, aby nie wycofać się od razu, dlatego, że jej nie ma. Histeria, o której pan tak lekko mówi, ży, z których ktoś obcy potrafi się śmiać, wypłynęły z walki, z sytuacji i nastroju. Niech pan nie kpi z kamieni, bo w bitwie, bo w każdej bitwie trzeba mobilizować wszystko. Nawet kamienie... gdy zabraknie amunicji.

ZRÓDŁA WIARY I UFNOŚCI

W bitwie trzeba mobilizować wszystko... Prawdę tę zna Drugi Korpus z wielu epizodów. Pod tymże Monte Cassinó, w ostatnim dniu natarcia na Klasztor, gdy już zabrakło na jednym z odcinków oddziałów liniowych, poszła ostatnia — dosłownie ostatnia — kompania. Poszły kancelarie, poszli pocztowi, sanitariusze, wrócili pod ogień nawet lekko ranni. I Klasztor został zdobyty!

Jak wiele zaś ciężkich chwil było pod Monte Cairo, pod Ankoną, nad Metauro, w Pessaro, w Predappio i na tyłu innych miejscach walk, na tyłu innych miejscach triumfów Drugiego Korpusu! Przetrawiano ciężkie chwile. Przełamano opory. Osiągnięto cele. I stąd — ze zwycięstw, które przecież nie przyszły za darmo — wyraza optymizm.

Na barnej, nieprawdopodobnie bogatej w najdziwniejsze zdarzenia przeszłości opiera się zaufanie Drugiego Korpusu w przyszłość. Na przekonaniu, że jednak światem nie mogą rządzić na stałe nonsens, ucisk, niesprawiedliwość — opiera się jego wiara.

Taki — sądzę — jest Drugi Korpus.

PIEŚŃ WIELKANOCNA

Wypuścili się toży
jak anielskie głosy:
"trzeba z martwych wstać,
z Bogiem królować" —
Alleluja!

ORACZE ku ziemi opuściwszy głowy,
ŻOŁNIERZE wbiwszy broń —
długo patrzyli się wilgnymi oczami
ku swojej, swojej stronie.

I NARÓD ŻYWYCH, POSPÓLSTWO, TLUM
WIERNYCH

oddychać słowem poczyna,
za krami wieków puszcza korzenie,
biało-czerwona wiklina.

Kłękajcie głosy,
w słonec niebiosy
i narodowe chóry;
święcone bierście,
baranki jedzcie,
maściły je własne rosy.

JERZY FACZYŃSKI

OD SZKOCKIEGO PRZYJACIELA

Scots, English and French soldiers who fought at Cassino have told me that the Mount would not have been conquered if it had not been for the wholehearted bravery of the Poles. Some of the Poles who fought in that heroic engagement have been in Scotland on leave. Others are in hospital, and have been entertained by the Scottish-Polish Society in Glasgow this week. Our visitors include Lieut. Jan Lerski, a young Pole, awarded the *Virtuti Militari* for leading his countrymen in the ascent of the Mount. He must be the youngest V.C. in Europe.

Just before I started to write this message, a friend telephoned to inform me that his son Matt Inglis is a Liaison Officer in Italy with one of the Polish battalions. Young Inglis has been praising the fighting qualities of the Poles, with whom he wishes to remain until the war ends. He is one of many thousands of Scots who remain loyal to their pledge to work without ceasing for the restoration of Polish liberty and independence.

My nephew, Corporal Jim Dollan, 51st Canadian Troops, has been fighting with the Poles on the Continent since D-Day. He says the Poles are very popular in Holland, where they are greatly appreciated for having liberated Breda and other towns. There is a fellow-feeling between the Dutch and the Poles that strengthens their unity in the common struggle to destroy the Dictators.

But whether the Poles are fighting in Italy and in Holland, we know they will never let their country down. They have a great Commander-in-Chief in General Anders, whose record as a leader is unsurpassed in this war. His name will rank in history alongside that of Kościuszko, Sikorski, Mikołajczyk, Arciszewski and many others who have devoted their talents to the cause of Poland.

We here watch the news of what you are doing, and are as proud of you as we are of our own sons and daughters in the fighting forces.

It will soon be the fifth anniversary of the Poles' arrival in Scotland to assist us at a time when we had few men and little equipment. We are going to celebrate the fifth anniversary in great style and in the hope that it will be the prelude to the emancipation of the Poles wherever they may be. So please remember the words of our famous songster, Sir Harry Lauder:

"Keep right on till the end of the road and all will be well."
Poland for ever!

Żołnierze szkoccy, angielscy i francuscy, którzy walczyli pod Cassino opowiadali mi, że Góra Kassynska nie dostałaby się w nasze ręce, gdyby nie wspaniałe męstwo Polaków. Niektórzy Polacy, którzy brali udział w tej bohaterskiej bitwie przebywali na urlopie w Szkocji. Inni przebywają tu w szpitalach i byli w tym tygodniu podejmowani przez Towarzystwo Szkocko-Polskie w Glasgowie. Wśród naszych gości znajdują się por. Jan Lerski, młody Polak odznaczony Krzyżem "Virtuti Militari" za dowodzenie swoimi rodakami przy wdzieraniu się na Górę. Przymuszczenie jest on najmłodszym żołnierzem w Europie, noszącym tak wysokie odznaczenie.

Właśnie nim zacząłem pisać te słowa telefonował do mnie przyjaciel z wiadomością, że syn jego Matt Inglis jest oficerem łącznikowym przy polskich oddziałach we Włoszech. Młody Inglis chwalił zdolności bojowe Polaków i pragnie z nimi pozostać aż do końca wojny. Jest on jednym z tych wielu tysięcy Szkotów, którzy zostaną wierni swym zobowiązaniom nieprzerwanej pracy dla odbudowy polskiej wolności i niepodległości.

Bratanek mój, kapral Jim Dollan, służący w wojsku kanadyjskim, walczył razem z Polakami na kontynencie od dnia inwazji. Opowiadał on, że Polacy są bardzo lubiani w Holandii, gdzie zyskali sobie ogromną wdzięczność za uwolnienie Bredy i innych miast. Holendrów i Polaków łączy uczucie wspólnoty, które wzmacnia jedność w zgodnym wysiłku zniszczenia wroga.

Ale my wiemy, że Polacy walczą we Włoszech czy w Holandii, nigdy nie zawiodą swego własnego kraju. Mają oni wielkiego dowódcę w osobie generała Andersa, którego czynią za nieprześcignioną w tej wojnie. Imię jego przejdzie do historii obok imienia Kościuszki, Sikorskiego, Mikołajczyka, Arciszewskiego i wielu innych, którzy oddali swe zdolności sprawie Polski.

Śledzimy tutaj pilnie nowiny o tym, co wy robicie i jesteśmy tak samo dumni z was, jak z naszych synów i córek, służących w siłach brojących.

W niedługim czasie przypadnie piąta rocznica przybycia Polaków do Szkocji po to, aby nam pomóc, wtedy, kiedy mieliśmy mało żołnierzy i niewiele sprzętu. Tę piątą rocznicę będziemy obchodzili bardzo uroczysto i w nadziei, że będzie ona wstępem do uwolnienia Polaków wszędzie, gdziekolwiek oni się znajdują. Pamiętajcie słowa naszego słynnego pieśniarza Sir Harry Lauder'a:

"Wytrwaj aż do końca drogi i wszystko będzie dobrze".
Niech żyje Polska!

SIR PATRICK DOLLAN

MAREK ŚWIĘCICKI

Polska poezja wojenna

LEGIONY DĄBROWSKIEGO

(1797-1801)

PIEŚN LEGIONÓW POLSKICH WE WŁOSZECH

Jeszcze Polska nie umarła,
kiedy my żyjemy.
Co nam obca moc wydarła,
szablą odbijemy.

Marsz, marsz, Dąbrowski,
do Polski z ziemi włoskiej:
za Twoim przewodem
złączym się z narodem.

Jak Czarniecki do Poznania
wracił się przez morze
dla ojczyzny ratowania
po szwedzkim rozbiore,

Marsz, marsz, Dąbrowski,
do Polski z ziemi włoskiej:
za Twoim przewodem
złączym się z narodem.



KNAZIEWICZ WRĘCZA DYREKTORIATOWI W PARYŻU 35
SZTANDARÓW ZDOBYTYCH NA NEAPOLITANCZYKACH
kompozycja Oleszczyńskiego



ODDANIE DĄBROWSKIEMU NA KAPITOLU SZTANDARU
TURECKIEGO Z LORETO, ZDOBYTEGO PRZEZ SOBIESKIEGO
rysunek Pierracinięgo

WIERSZ DO LEGIÓW POLSKICH*

Tak, gdy niegdyś Pers dumny, wszystkie sily Wschodu
Na zagładę greckiego poruszył narodu,
Tworząc dziwy na ziemnym i wodnym przestworzu,
Płynął, gdzie były góry, przechodził po morzu;
A pomstę swoich przodków mając w przedsięwzięciu,
Na jednego Greczyna swych zbroił dziesięciu;
Atenczyk chcąc odeprzeć napaścnicze tłumy,
Rzuca miasto, ten przedmiot najezdźnika dumy,
Łącząc siłę i rozpacz z miłością ojczyzny,
Idzie walczyć z nachodzącą, wśród morskiej płaszczyzny;
I ten, co się na ziemi rozgościł był Greka,
Pan tysiąca okrętów, na barce ucieka.

Z równym i wy ojczyznę rzucili zapalem!
Choć szczęście Aten waszym nie było udziałem,
Przynajmniej wasza chwala nie jest pośledniejsza:
Los przeciwny, szacunku ofiary nie zmniejsza.

Co za widok wspaniały uderza me oczy!
Tam, gdzie Erydan nurty lazuruwe toczy,
Gdzie Gallów z Germanami Ren dzieli szeroki,
I gdzie Tyber, skrapiając Scypijonów zwłoki,
Zadrosny sławy Rzymu, w swym tonie głębokim,
Ukrywa twórcze dzieła przed najeźdźcą okiem,
I skąd nie syty niegdyś i sławy i danin,
Jednym berła, a drugim siałę pęta Rzymianin,
Który dla swych widoków i wojennych trudów,
Nie znał innej granicy nad pokorę ludów;
Gdzie potem, na Trajanów i Tytusów tronie,
Siadłszy święty rybolów w trójstej koronie,
Ze schodów marmurowych, na kształt majestatu,
Dwa palce, zamiast berła, pokazywał światu;
Gdzie bystry Dunaj, świadek tylu krwawych bojów,
Niesie morzu daninę krajoróżnych zdrojów,
I gdzie Wulkan z swej paszczy czarną lawę ziewa;
Wszędzie sztandar zwycięski Sarmatów powiewa;
A wśród ojczyznej mowy, stroju, obyczaju,
Zda mi się, że na łonie mego jestem kraju.
I nie przedziej to słodkie omamienie ginie,
Aż gdy wzrok mój po obcej zapuszcze krainie.

Liczbą zbrojnych przychodniów mieszkańiec dziwiwiony,
Trwożnym okiem przebiega obec legijony;
Jakie ich przedsięwzięcie, jaki zamysł, bada:
Sam siebie zapytuje i sam odpowiada:
"Może umysł napaści albo zwycięstw chciwy,
Nowych wiedz Attylów na Auzońskie niwy?"
Nie. — To naród szlachetny, łagodny, spokojny:
Zawsze był mężny w boju, lecz nie szukał wojny.
"Może klima niewdzięczne, chciwość lub potrzeba
Zagnaty tych wędrowców pod te szczytne nieba,
Gdzie ziemia, co rok płodna, nie znając odlogów,
Lubym niegdyś pobytęm była ojca bogów?"
Nie. — Zamożny i w niwy i stada i trzody,
Ten lud inne odziewał i żywił narody;
Gościnnie, dzielił z obcym dostatek krajowcem,
Lubił wspierać przychodniów, sam nie był wędrowcem.
"Może smutne Pergamu rzucały zwaliska,
Nowi jacy Trojanie szukają siedliska,
Chcąc na wzór Eneaszów nowym państwem stynąć?"
Nie. — Przyszli kraj swój zbawić lub za niego zginąć.

Ale próżne, niestety, zamiary i znoje.
Jak nie dla siebie znoszą miod pracowne roje,
Jak nie sobie pod jarzmem wó kraje zagony,
Równie kto inny zebrał pracy waszej plony.
Co za smutne uczucie dla Polaka duszy!
Lecz nowy jakiś odgłos uderza me uszy:
Auzończyk, wsparty dzielnym Lechity ramieniem,
Niesie mu hold wdzięczności swym ponętnym pieniem;
A nie mogąc mu równym odśłużyć wymiarem,
Placi jego ofiary obietnicy darem.

Brzeg auzoński za mały na wasze był czyny:
Sława was w odleglesze wzywata krainy;
Kedy ojce szukały winy odpuszczenia,
Ich dzieci szły na hasło ojczyzny zbawienia.
Tam, okryty laurami na werońskim polu,
Dziennie rozkazy Polak dawał z Kapitulu;
I gdzie bagna pontyńskie dech zabójczy ziona,
Wszędy widziano ziemię, krwią jego zbrozoną;
Walcząc mężnie na polach nowej Partenopy,
Utkwił sztandar sarmacki na kracach Europy.
Tam obiegający zwycięskim krokiem okolice,
Zdobit w pamiętki mestwa niewdzięcznych stolice.
Może kiedyś życzliwsze od swych ojców plemie,
Patrząc na zholdowane i ludy i ziemię,
Na zwycięskich w swym grodzie znaków skład bogaty,
Wspomni imię z wdzięcznością mężnego Sarmaty.

* Fragment.

CYPRIAN GODEBSKI



JÓZEF WYBICKI
portret Bacciarellego

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
będziem Polakami,
dał nam przykład Bonaparte,
jak zwyciężać mamy.

Marsz, marsz, Dąbrowski,
do Polski z ziemi włoskiej:
za Twoim przewodem
złączym się z narodem.

Niemiec, Moskal nie osiedzie,
gdy jawniej pałasza,
hasłem wszystkich zgoda będzie
i ojczyzna nasza.

Marsz, marsz, Dąbrowski,
do Polski z ziemi włoskiej:
za Twoim przewodem
złączym się z narodem.

Już tam ojciec do swej Basi
mówi zapłakany:
"Słuchaj jeno, pono nasi
biją w tarabany"

Marsz, marsz, Dąbrowski,
do Polski z ziemi włoskiej:
za Twoim przewodem
złączym się z narodem.

Na to wszystkich jedne głosy:
"Dostyc tej niewoli.
Mamy raclawickie kosy,
Kościuszkę Bóg pozwoli".

JÓZEF WYBICKI

Legiony polskie powstały w r. 1797
we Włoszech, walcząc po stronie re-
publiki francuskiej. Odnazczyły się
chlubnie w szeregu bitew, jak pod
Magnano i pod Novi, nad Trebia
i nad Adygą. Po pokoju, który Fran-
cja zawarła z Austrią w Luneville
/1801/, legiony przekształcono w pół-
brygady francuskie i wysłano na San
Domingo. Niedobitki posłużyły jako
kadry wojska Księstwa Warszaw-
skiego, które zaczęto formować
w r. 1806.

"Pieśń legionów polskich", zna-
na powszechnie jako "Mazurek Da-
browskiego", polski hymn narodowy,
powstała w r. 1797 zapewne w Reg-
gio. Stworzył ją znakomity polski
mał stanu Józef Wybicki /1747 —
1822/. "Wiersz do legiów polskich"
napisał Cyprian Godebski /1765 —
1809/, świetny poeta i żołnierz, któ-
ry jako pułkownik 8-go pułku pie-
choty zginął później w bitwie pod
Raszynem. Kazimierz Brodziński
/1797 — 1835/, autor "Legionisty",
wybitny krytyk i poeta, w kampanii
moskiewskiej dosłużył się stopnia
porucznika, był ranny w bitwie pod
Lipskiem, rozwinął ożywną działal-
ność propagandową w czasie powsta-
nia listopadowego.

Tekst "Pieśni legionów" wzięli-
śmy ze szkicu Ignacego Chranow-
skiego "Nasz hymn narodowy"
/Lwów 1922/, wiersz Godebskiego —
z t.II jego "Dzieł" /Warszawa
1821/, wiersz Brodzińskiego — z t.II
"Stu lat myśli polskiej" /Warszawa
1907/, ilustracje — z t.II wydawnic-
stwa "Polska, jej dzieje i kultura"
/Warszawa 1937/ oraz z albumu
Ernesta Łunińskiego "Napoleon
i legiony" /Warszawa 1912/.

LEGIONISTA*
LEGIONISTA
Piękna włoska kraina bieżą konik wrony,
Jedzie młody Lechita smętny, zamyślony;
Przed domem obok drogi stojąca rodzina
Poznaje go po odzieży obcej ziemi syna.
Zatrzymuje go w drodze gościnnymi słowy
I takie z cudzoziemcem prowadzi rozmowy.

WŁOCH
Białowłose młodzięcze rumianego lica!
Jaka ciebie po świecie uwodzi tęsknica?
Po co ci między obcych z dalekiej północy?
Jaki stan twój? Jakowej zażądasz pomocy?

LEGIONISTA
Ojczyzna stanem moim, bom syn polskiej ziemi,
Wydartą mi została! Pomiedzy obcymi
Pójde się dostugiwać i przez krew i blizny,
By przechować choć jedną kroplę dla ojczyzny.
Ja milować, jej służyć — to nauki moje,
Całą moją puścizną — to po ojców zbroje!
Gdyście radzi dopomóc, niech od was usłyszę:
Dalekolei orężni moi towarzysze?
Ojciec, któremu w domu niemocy zostawił,
Z szablą, sobie niezdatną, do nich mię wyprawił.

WŁOCH
Zwodną twoją otucha, nieszczęsny młodzianie!
Naród ginie, jak człowiek: z grobu nie powstanie!
Był-ci i Rzym potężny: może jego panu
Przez całą kulę ziemską rozciągnął kajdany,
A w gruzy się rozsypał! Bo wszystkim czas włada,
Wszystko, jak owoc, kwitnie, cięży i upada.

LEGIONISTA
Żelazną zasłynęły potęgą Rzymianin,
Miecz zdobywał ich kraje, trzymały kajdany;
U nas plugiem żelazo, złotem były kłosa,
Koni do boju i roli, do obrony kosy.
Własneśmy tylko ziemię po ojcach orali,
Na swoich tylko miedzach szable zatykali.
A kiedyśmy porządkiem wolność wieńczyć chcieli,
Obcy na pola nasze zewsząd się zbieżeli...
Jeszcze mojej ojczyźnie nie bila godzina,
Gdy dotąd duch jej czuwa w krwi każdego syna.
Gdy wolność czuć przestali, upadli Rzymianie.
Ja pójde na kraj świata, aby walczyć za nie.

WŁOCH
Jednego ojca słońce świeci całej ziemi;
Gdzieś, kochając, kochany, tam żyjesz ze swemi.
Tu cię ziemia wesola niech cieszy, wygnanie!
Tu oliwa, tu wanne cięża pomarańcze:
Porzuc zbroję zawodną i tu osiadł z nami,
Nie płacz zgasłej ojczyzny nad Rzymian gruzami!

LEGIONISTA
Choć pod niebem zimniejszym kwitną moje niwy,
Nie rodzą winnych jagód, ni wonnej oliwy,
Milsze przecię równiny wzdłuż podnoża Tatrów,
Gdzie kłosa kołysane, jak morze od wiatrów.
Kłaniają się, niebieskim bławatem wieńczone,
Gdzie nam góry żelazo kryją na obronę.
Z tymi tylko skarbami, nie zając nikomu,
Życ pragnę, jeśli wrócę do rodziców domu.

WŁOCH
O, luby mój młodzianie! W lat wiosennych dobie
Ta surowość, ten smutek nie przystoi tobie.
Użyj chwili wesolej, a sprawę twej ziemi
Zostaw Boga wyrokom, Króla nad wszystkimi.
Czarnobrewą dziewicą niewolącym głosem
Uśpi tu twoje troski, pomści się nad losem;
Przy niej twoja rodzina i ziemia tu będzie:
Dla dobrych, dla kochanych jest ojczyzna wszędzie!

LEGIONISTA
Ze łzami ja sąsiednią dziewicę żegnałem:
Ojczyzna tylko mogła być naszym rozdziałem!
Jeśli kiedy po długiej wróce poniewierce,
Wolny, oddam broń ojcu, a kochance — serce;
Połącz nas ojczyzna, bo przysięgą dzienną
Jest u mnie razem wolność z wiernością niezmienną.

Tak gdy mówił, posłyszal ukraińskie dumy:
Ciagną z góry cieniście legijonów tłumy;
Jako strzala, naprzeciw leci konik wrony,
Potomek wolnych Rzymian stoi zadziwiony.

* Fragment.

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI

Powstanie Warszawskie

Z warszawskiego "Biuletynu Informacyjnego" — organu Armii Krajowej — przedrukujemy obszernie omówienie przyczyn Powstania Warszawskiego.

Serca i wymyśli nasze, wstrząśnięte stratami najbliższych, poruszone do głębi potwornościami zniszczonej Stolicy oraz urzeczony bohaterstwem powstańczej Warszawy — usiłują ogarnąć istotę tego co się stało i co pozostanie w nas, jako największe i najcenniejsze wspomnienie naszego życia.

Czym jest Powstanie? Skąd te trudności, które się wokół niego spiętrzyły? Jaki dorobek pozostawi ono Polsce?

W kolejnych numerach "Biuletynu Informacyjnego" postaramy się rozważyć te pytania.

I. CZYM JEST POWSTANIE WARSZAWSKIE?

W całości naszej pięcioletniej walki o wolność, Powstanie nie było nieoczekiwanym i podyktowanym szczególnie mi aktom wojennym i politycznym. Było i jest natomiast jednym z licznych i naturalnych ogniw polskiej śmiertelnej walki z najeźdźcą germańskim.

Sytuację Powstania komplikował brak ułożonych stosunków z wracającymi wojskami Armii Czerwonej. Brak ten ciążył jednak nie tylko nad polityczną i wojskową sytuacją Powstania, lecz nad całością naszego wysiłku zbrojnego od momentu, kiedy w styczniu 1944 roku wojska sowieckie wkroczyły w granice Rzeczypospolitej. Już w owym czasie powstała i do dziś trwa ta niejasna sytuacja: Sowieckiej ofensywie w głąb Polski towarzyszy brak ułożonych stosunków między rządami polskim i sowieckim.

Ten brak stosunków płynie stąd, że nieustępliwym wstępnym żądaniem sowieckim przy wszystkich rozmowach dyplomatycznych było i jest: 1. zrzeczenie się przez Polskę wschodniej połowy terytorium państwowego, 2. takie przekształcenie rządu, któreby doraźnie zerwało ciągłość naszej samodzielnej egzystencji państwowej, w skutkach zaś uczyniło z Polski państwo o ograniczonej niepodległości.

Nie można przyjąć tak ciężkich i godzących w nasz byt warunków, a pragnąc dalej prowadzić swą śmiertelną walkę z Niemcami — Rząd Polski, w momencie wracania Armii Czerwonej w ziemie Rzeszy, zdecydował się mimo braku formalnych z Sowiekami układów, w spó-

działać faktycznie z Armią Czerwoną w zwalczaniu Niemców.

Toteż w miarę sześciomiesięcznego posuwania się przez Polskę frontu — na tyłach wojsk niemieckich mnożyły się polskie działania partyzanckie, nieraz o bardzo silnym natężeniu /n.p. na Wołyniu/. Wybuchły także lokalne powstania przeciw Niemcom — jak na przykład we Lwowie, Wilnie i na Lubelszczyźnie.

Pomimo ciężkich przejść, jakie towarzyszyły naszym oddziałom na zajętych przez wojska sowieckie częściach Kraju — wytrwaliśmy do dziś niezłomie w zbrojnej i czynnej walce z Niemcami. Albowiem na ziemiach polskich rozgrywa się nie tylko wojna sowiecko-niemiecka. Rozgrywa się nade wszystko wojna polsko-niemiecka.

Wojskowa bierność Kraju w obliczu zachodzących wydarzeń byłaby nie do pomyślenia i nie do wykonania. Współdziałając z wojskami Armii Czerwonej, dawaliśmy równocześnie naszą walkę, wyraz umiłowaniu Wolności i Niepodległości. Wyrażaliśmy także naszą naturalną nienawiść do wspólnego niemieckiego wroga. Wreszcie przejawialiśmy jedynie słuszną — bo czynną — postawę w walce o wyzwolenie Ojczyzny.

Powstanie Warszawskie było dalszym i naturalnym fragmentem tej walki, było dalszym ciągiem tej samej linii postępowania, pynącej z poczucia, że lejąc obficie krew na polach bitew całego świata — żołnierz polski nie mógł być biernym widzem walk, które toczyły się na jego ziemi ojczystej.

["Biuletyn Informacyjny", rok VI, nr. 90 /298/, Warszawa, piątek 22 września 1944 r.]

II. ODOBOBNIE I JEGO SKUTKI

Najtragiczniejszym wydarzeniem Powstania Warszawskiego było słabe, doraźne i nacechowane trudnościami współdziałanie wojskowe z Powstaniem zarówno Aliantów Zachodnich, jak i Sowie-
tów.

Też Narodów Sprzymierzonych było: śpieszyć z pomocą każdemu, kto walczy z Hitlerem. Nam tego poparcia w dostatecznej mierze nie dano.

Różnie wyjaśniano to odosobnienie. Ostatecznie jednak oficjalne wyjaśnienia angielskie dają do zrozumienia, iż przyczyną wstrętności Aliantów Zachodnich była niechęć Rosji do interwencji alianckiej na sowieckich terenach operacyjnych.

Jeżeli zaś chodzi o negatywny stosunek do Powstania Dowództwa Sowieckiego, to oświadczenia sowieckie podają — jako motyw zasadniczy — brak uzgodnienia działań powstańczych z Rządem i Dowództwem Sowieckim.

Sprawa bynajmniej nie przedstawia się tak prosto.

Doraźne i lokalne próby porozumienia się dowódców partyzancki polskiej i naszych lokalnych powstań z dowództwami sowieckimi na Kresach Wschodnich i w Lubelszczyźnie nie dały w żadnym wypadku pozytywnych osiągnięć. Dowódców tych stawiano bowiem z reguły w obliczu żądań zerwania z Rządem w Londynie i Dowództwem Armii Krajowej oraz podporządkowania się polskim ośrodkom politycznym i wojskowym, działającym z upoważnienia Z.S.R.R.

Mimo tych politycznych warunków i w związku z tym trudności pełnego porozumienia — dowódcy nasi z uporem i konsekwencją ponawiali próby współpracy taktycznej z dowództwami sowieckimi, odsyając równocześnie władze sowieckie w sprawach ogólnopolitycznych do rozmów bezpośrednich z naszym Rządem.

Jeśli chodzi o Powstanie Warszawskie, to tuż przed jego wybuchem Rząd Polski uczynił zasadniczy krok w kierunku porozumienia się z Rosją. Krokiem tym był wyjazd Premiera Mikołajczyka do Moskwy, mający na celu pełne ułożenie stosunków polsko-sowieckich. Jeśli pobyt Mikołajczyka w Moskwie nie przyniósł ani Polsce ani Powstaniu żadnej ulgi — to w każdym razie może wystarczyć do obalenia zarzutu, iż ze strony polskiej nie było wysiłku w dążeniu do porozumienia się.

Premier Mikołajczyk po powrocie z Rosji uczynił jeszcze jeden krok w kierunku porozumienia: wysłał memorandum, zawierające projekt układu polsko-sowieckiego. Między innymi projekt ten gwarantował Sowietai przebudowę Rządu Polskiego, dającą Związkowi Sowieckiemu poczucie, iż nowy rząd będzie rządem gwarantującym dobre i przyjazne sąsiedztwo. Na memorandum to Mikołajczyk do dziś nie doczekał się odpowiedzi, ani ze strony Moskwy, ani ze strony lubelskiego "Komitetu Wyzwolenia Narodowego".

Równoległe do rządowych wysiłków, zmierzających ku zasadniczemu rozwiązaniu trudności porozumienia się z Sowietai — towarzyszyły Powstaniu próby Dowództwa Armii Krajowej nawiązania z Dowództwem sowieckim współdziałania doraźnego, ściśle wojskowego.

Próby te na ogół nie dawały wy-

ników. W rezultacie przez sześć pierwszych tygodni Powstanie Warszawskie walczyło niemal w całkowitym odosobnieniu, przy ofiarnych, lecz rzadkich i mało skutecznych przejawach angielskiej pomocy lotniczej.

Dopiero w siódmym tygodniu stan ten uległ poważniejszej zmianie. Wielka wyprawa amerykańska, obfite zrzućty sowieckie, skuteczna ochrona stolicy przez lotnictwo sowieckie, sowieckie współdziałanie artyleryjskie, oficerowie sowieccy zrzućci dla zorganizowania łączności — wszystkie te fakty dowodzą, jak skuteczne może być współdziałanie taktyczne, gdy druga strona ma wolę współdziałania.

Dziś odosobnienie Powstania należy do przeszłości.*

Gdy ktokolwiek twierdzi, że długotrwałe odosobnienie Warszawy było winą strony polskiej — ten zamyka oczy na nasze, jakże liczne wysiłki powiązania własnej walki z walką Zjednoczonych Narodów. /Nr. 91 /299/, Warszawa, sobota 23 września 1944 r./

III. BEZPOŚREDNIE WARUNKI WYBUCHU

Bierność wojskowa Warszawy w obliczu podchodzącego do Wisły frontu — była nie do pomyślenia. To rozumieją wszyscy. Natomiast wokół terminu wybuchu Powstania toczy się od pierwszej chwili dyskusja i spory.

O dacie wybuchu Powstania decydowały, rzecz oczywista, względy przede wszystkim wojskowe. Te właśnie względy — a nie powody polityczne — miały wówczas głos decydujący.

Nie mamy miarodajnego nawiązania bezpośrednich wojskowych przyczyn, które zdecydowały o wybuchu. To jednak co wiemy pozwala sądzić, iż decyzja o czasie wybuchu Powstania zapadła nade wszystko na skutek ogromnego wzrostu zagrożenia przygotowań powstańczych ze strony niemieckiej.

Mianowicie w ostatnich dniach lipca wzrosły bardzo znacznej mierze likwidacje przez Gestapo magazynów broni oraz aresztowania placówek organizacyjnych,

* Słowa te były pisane w dniu 23.IX.1944 r., gdy pod świeżym stosunkowo wrażeniem obecności Armii Czerwonej na wschodnim, praskim brzegu Wisły, oraz pomocy w postaci sowieckich zrzućtów nocnych i amerykańskiej wyprawy lotniczej /18.IX./ — można było się spodziewać, że Warszawa nie zostanie pozostawiona swemu własnemu losowi i że Armia Czerwona zdoła wypędzić z miasta Niemców w ciągu kilku dni. Niestety rzeczywistość okazała, że nadzieje te spełzyły na niczym.

świadczące wyraźnie o przygotowaniu wielkiego ataku policji niemieckiej na polskie formacje wojskowe. Równocześnie na ulicach miasta w ostatnich trzech dniach przed Powstaniem w szeregu punktów miasta zostały wystawione posterunki broni maszynowej, a w kilku węzłowych miejscach, jak n.p. na Żoliborskim wiadukcie — posterunki czołgowe.

Przygotowania te dawały podstawy do twierdzenia, iż władze niemieckie lada dzień przystąpią do urzeczywistnienia z dawną opracowanego, lecz dotychczas odkładanego planu masowego wbrania ludności męskiej stolicy.

Pociągnęło by to za sobą, rzecz oczywista, konieczność naturalnego oporu i samorzutny wybuch Powstania w warunkach zupełnego chaosu.

Nie wolno było w żadnej mierze dopuścić do wybuchu niezorganizowanego, samorzutnego, sprokowanego przez wroga. Z drugiej strony nie można było przeciwstawić się naturalnej dążności żołnierza do walki i oporu. Żołnierz, który przez pięć lat zbierał i chronił swą broń z największym narażeniem własnego życia i życia najbliższych — nie mógł mieć tej broni wytrąconej z ręki przez bierność własnego dowództwa. Żołnierzowi temu groziło zresztą, że zostanie nie tylko pozbawiony walki, do której się tyle przygotowywał i tęsknił, lecz równocześnie, że będzie użyty przez okupanta dla jego celów wojennych.

Decyzje o Powstaniu zapadały przy akompaniamencie dalekich, lecz zbliżających się stale odgłosów ognia artyleryjskiego z przysuwającego się frontu. Wiadomo było, że patrole sowieckie operują już na przedmieściach Pragi i że niemieckie przygotowania do zamiany Warszawy na wielkie pole boju zdawały się wchodzić w stadium realizacji, groząc stolicy wszelkimi tego skutkami.

W tych okolicznościach podjęliśmy walkę, której celem wojskowym było opanowanie miasta, będące w danych warunkach najbardziej naturalną formą współdziałania wojskowego z Armią Czerwoną. Chodziło tu również o przyspieszenie momentu, w którym wojna przevali się przez miasto, a tym samym zaoszczędzenie Stolicy zniszczeń wojennych.

Losy każdej wojny są zmienne. Wzmożony opór niemiecki, powodujący powstrzymanie ofensywy sowieckiej tuż u bram Warszawy w pierwszych dniach Powstania — stworzyłby zupełnie nowy i odmienny obraz sytuacji. Powstanie Warszawskie stało się walką ponad wszelkie oczekiwania ciężką i przewlektą.

[Nr. 93 /301/, Warszawa, poniedziałek 25 września 1944 r.]

Przez pięć lat okupacji mieszkaniem w Warszawie. Jako żołnierz Armii Krajowej uczestniczyłem w Powstaniu Warszawskim. Dziś gdy los rzucił mnie do Londynu, nie mogę oprzeć się wspomnieniom o przeżytej doli i niedoli. Nie mogę się też oprzeć wspomnieniom o tej chwili, w której po raz ostatni widziałem to, co pozostało z naszej Stolicy.

30 września. Huk dział, huk rozrywających się pocisków, trzask karabinów maszynowych trwa bez przerwy. Wieczorem nieoczekiwana wiadomość. Władze nasze nakazują ewakuację ludności cywilnej. Wiadomość ta z piwnicy do piwnicy rozchodzi się błyskawicznie. Krząta najrozmaitsze plotki i domysły. Ludność jest podniecona. Twarze posępne, zamysłone. Tu i ówdzie słychać szloch kobiet. Człowiek przyzwyczaił się już do nowych warunków, chociaż na gruzach, bez wody, bez prymitywnych wygod, ale u siebie, wśród najbliższych żyjących i wśród grobów najbliższych.

1 października rano: cisza. Zawieszenie broni. Wiadomość rozchodzi się błyskawicznie. To ostatnie godziny walczącej Warszawy. Ludność z podziemi wylega tłumnie na ulice. Ruch niebawmy. Na Al. Sikorskiego można już przejść przez jezdnię.

Zaczynają się poszukiwania rodzin i znajomych. Ludzie wracają do swoich domów spalonych i zburzonych. Każdy jest zajęty. Każdy czegoś szuka. Na ulicy Wspólnej na gruzach jakiegoś domu sie-

dzi kobieta w pół ubrana. Oczy błędne, śmiejąca się — obłąkana. Takich wiele.

Widać już pierwsze grupy ludzi z tobołkami zdążających w kierunku zachodnim. Ulicę są zatarasowane, pełno gruzów, pełno najrozmaitszych rzeczy na chodnikach i jezdniach. Trzeba posuwać się bardzo ostrożnie. Żołnierze nasi pomagają ludności, niosą jej dobytek, niosą dzieci i starców. Strasznie wygląda ten pochód.

5 października dołączam do jednej z takich grup. Mój majątek to mały woreczek na plecach. Dochodzimy do barykady przy ul. Koszykowej i Polnej. Tu ostatnia nasza placówka. Tu kończy się wolność. Krok — i rozpoczyna się nowa niewola. Po obu stronach ulic stoją żołnierze niemieccy. Przyłączam się do jakiejś kobiety, która prowadzi wózek dziecinny.

Idziemy przez Ochotę, kierując się do Dworca Zachodniego. Domy wypalone. Wieje jakiś dziwny chłód z czarnych otworów okiennych. Przeważę wózek dziecinny. Oś pęka, rzućmy go. Biorę na ręce malutkie dziecko i tak w milczeniu dochodzimy do Dworca Zachodniego. Na peronach już tłoczno. Deszcz mży. Podstawiają pociąg. Otwarte wagony.

Zajmujemy miejsca. Ścisł okropny. Krzyk i przekleństwa kolejarzy i żandarmerii niemieckich. "Fertig" — ruszamy. Jedziemy w nieznaną.

Wychodzę z Warszawy

Pociąg się zatrzymuje. Pruszków. Wsiadać. Ścisł, krzyk, płacz, poszukiwania rzeczy, nawoływania i nad tym wszystkim grubański, ordynarny "loos". Wolnym krokiem ludzie, a właściwie cienie ludzkie wchodzą na tereny dawnych warsztatów kolejowych w Pruszkowie. Dokoła posterunki niemieckie.

Wchodzimy do pawilonu nr. 5. Pełno ludzi. Siadamy gdzieś w kącie na mokrej posadzce. To nasze nowe mieszkanie, nasze nowe życie. Nawoływania, wymienianie nazwisk, w ten sposób próbują się odszukać najbliżsi. Noc zimna, noc pełna udręki.

Rano. Deszcz pada. Robię "wypad" na halę, zdobywam paczkę papierosów za 60 zł. Boże, jak tanio. Jest już giełda. Można kupić za 450 zł kilogram kielbasy. Obojętne z czego zrobiona. Można kupić chleb, prawdziwy chleb. Wszystko to naturalnie nielegalne. Duża kolejka. Ludzie się cisną. Dowiaduję się, że Czerwony Krzyż wydaje kawę. Zdobynam jakiś naczynek i przynoszę dla swoich śniadanie.

Około godziny 11-ej ogłaszają rozkaz wyjścia wszystkich na plac. Rozpoczyna się szacowanie na oko. Zdolny — niezdolny. Dzieją się rzeczy nieprawdopodobne. Rozdzielają rodziny, rozłączają małżeństwa, odłączają dzieci od matek. Placz, szloch, pożegnania. Powoli i ja ze swoją "rodziną" do-

chodzę do tej komisji. Wzrok zbierał oceniam mnie szybko. Na lewo. Moja znajoma z dzieckiem — na prawo. Grupa na lewo to ludzie przeznaczeni na wyjazd do Rzeszy. W tej grupie spotykam znajomego, już się trzymamy razem.

Po godzinie grupę około 1000 osób, w której jestem, prowadzą do sąsiedniej hali, która jest silnie strzeżona przez straż. Tłok tu niemożliwy, pełno ludzi. Wiek od 15 do 60 lat. Bez komisji lekarskiej, bez posiłku każą przygotować się do drogi.

Na pół godziny przed wyjazdem udało mi się przedostać na tereny kuchni. Tu po dwóch dniach przedostaje się z kolei do hali nr. 1 Hala nr. 1 to miejsce, o którym każdy marzy. To hala, skąd ludzie, już przesortowani wysyłani są pociągami na tereny t.zw. Gubernii Generalnej. I tu tłoczno. Przeważnie ludzie zupełnie starzy, chorzy, kobiety z niemowlętami, młodzi zaopatrzeni w zwalnające karty lekarskie, no i prawdopodobnie trochę takich, jak ja. Kilka godzin straciłem na poszukiwaniu, a właściwie na usiłowaniu wypożyczenia dziecka na chwilę, bowiem przy wejściu do wagonów następowała jeszcze raz selekcja. Nie było innej możliwości uniknięcia wysłania do Rzeszy. Po nieudanej wyprawie po dziecko znalazłem samotną staruszkę, lat około 80, która z ledwością się poruszała i przy jej boku dostawem się niezatrzyma-

ny do wagonu.

Wagony otwarte. Węglarki. Na każdej po 70 — 80 osób. Deszcz leje bez przerwy. Stoimy na bocznicach od 6 wieczorem do 11 w nocy. Wszyscy zmarznięci, przemoczeni. Dzieci pączą. Starzy już nawet nie mają siły narzekać. Narzeszcie odjazd. Pod konwojem. Zimno coraz bardziej dokucza. Deszcz coraz większy. I znowu niepewność czy dotrzymają słowa. Koluszki. Ciemno. Stoimy na bocznicach. Deszcz pada bez przerwy. Piotrków. Radomsko. Rano miejscowa ludność cywilna ze łzami w oczach żegna nas z oddali. Dolatują słowa pociechy, dolatują kawalki chleba i owoce. Pociąg nieszczęśliwych sunie powoli. Jakaś stacja. Obsługa Czerwonego Krzyża rozdaje kawę. Chcę pomóc. Krzyk — nie wolno. Pociąg rusza. Stacja Rudniki. Wsiadać. Wąskie przejście. Kontrola dokumentów. Nareszcie jesteśmy wolni. Tu członkowie RGO /G'ówna Rada Opiekuńcza/ przyjmują uchołdźców. Na polu stojik: rejestracja, przydział kwater, wozy chłopów miejscowych — to zorganizowana pomoc. Starzy, kobiety, dzieci, chorzy — wozami, zdrowi — pieszo. Na nowe kwatery. Na nowe nieznanne życie.

A cóż potem? Nowa seria przeżyć i wreszcie — Londyn. Chyba nie na długo. Nie skończyła się bowiem tłumaczka żołnierza polskiego i nie skończył się obowiązek pracy dla Sprawy.

STEFAN

Z wielkich i tragicznych dni Warszawy



Samochód pancerny zdobyty przez powstańców



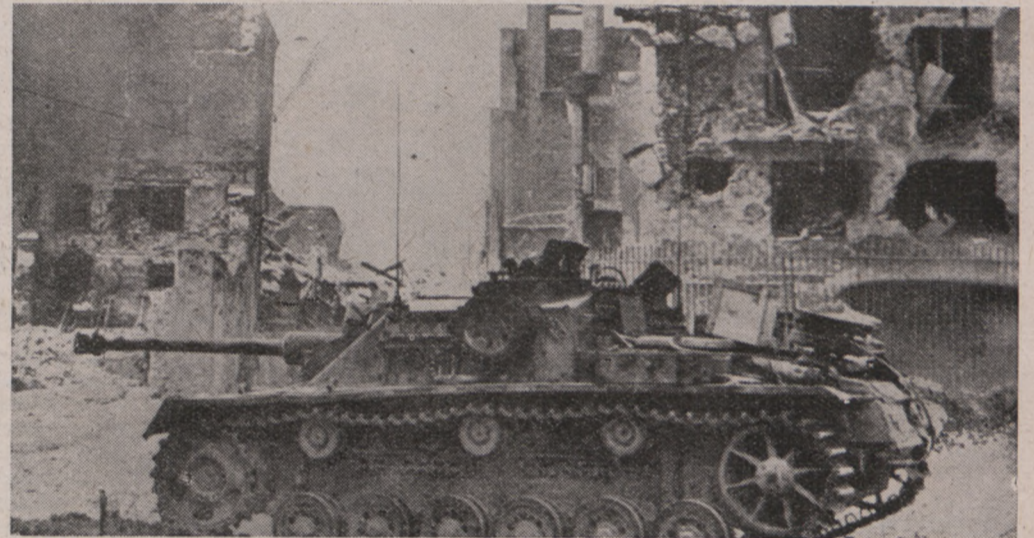
Afisz nawołujący do oszczędzania amunicji



Jeńcy zagarnięci w komendzie policji niemieckiej



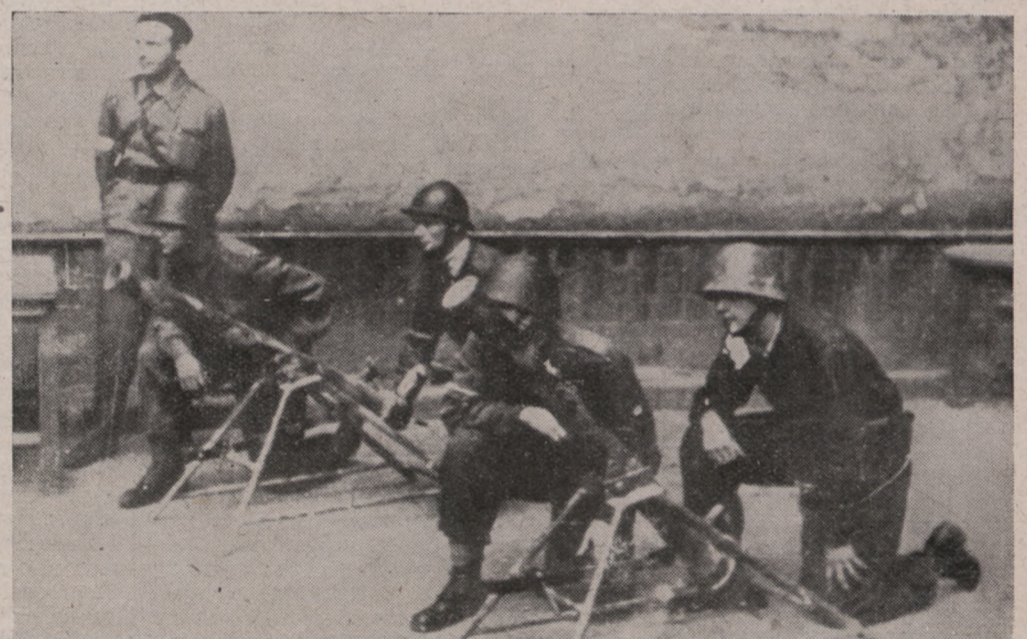
Tramwaj zamieniony na barykadę



Samoczynne działo używane przez Niemców



Karabin maszynowy obsługiwany przez robotników



Moździerze fabrykowane przez Armię Krajową



Zdobycza amunicja wędruje na stanowiska



Żołnierz Armii Krajowej otrzymuje pierwszą pomoc



rys. JANINA KONARSKA

wej. Dważyście wiek napotyka zwierzęta i rośliny, jakich już od dawien dawna nie ma na innych polach globu. Tu, w niedostępnej dotąd dla człowieka dżungli, w ostępach bronionych przez nieprawdopodobny, niewiarygodny rozwój i bujność roślinności zachował się jeszcze ten bajkowy, młody świat, gdzie orgia flory, niepostrzyżanej niczym flory rozsadza glazy, kamienie, drogi — gdzie na pnii zrabanego drzewa wykwita w ciągu kilkunastu godzin nowy, gęsty krzew, który w ciągu kilku dni staje się znów nieprzebytej zaporą.

"ZATLUSZCZONE MALPY" CZYLI NIEZNAJNI BOHATERE-ROWIE

Urwała się pieśń motorów "Liberatora". George wyrzucił na ziemię torbę nawigacyjną, termin i teckę zawierającą najkonieczniejsze rzeczy do spędzenia nocy na lotnisku. Następnie sam poszedł śladami swych gratów.

Julek już rozmawiał z brygadzi-
stą, objaśniając mu, co należy zro-
bić przy maszynie, ile dolać benz-
yny i oliwy. Tadek coś przypro-
mował o swym nieustannym zmur-
twieniu, o lewym, nieladującym
generatorze. George patrzył po
twarzach mechaników — i myślał,
że właśnie oni, ci ludzie nigdy nie-
zrozumiani w żadnych komunika-
cjach i rozkazach, te zwykłe "zatlus-
zone malpy" — jak nazywali-
śmy ich w potocznej mowie — są
prawdziwymi bohaterami wojny
w dżungli. Załogi przychodzi,
klną — i odchodzą. Jeśli mają
szczęście — wracają. Jeśli mają
pecha — giną. Ale dla załóg wszyst-
ko rozgrywa się w godzinach,
czasem w dniach. A dla tych bied-
nych, zapomnianych przez Boga,
"zatluszonych malp" wojna
w dżungli jest ciągiem długich,
monotonnych dni straszliwej pra-
cy w najstraszliwych warunkach,
w jakich człowiek kiedykolwiek
pracował. Dnie będą miały, za-
łogi będą przychodziły i odchodziły,
będą się zmieniały maszyny i piloci
— a dla nich wciąż, bezustannie,
jak w kierce: uzupełnienie ben-
zyny, uzupełnienie smarów, spraw-
dzenie hydrauliki, kontrola luzów,
oczyszczenie świec. Potem samo-
lot odleci. W godzinę po nim
przyjdzie inny — i znów: uzupeł-
nienie benzyny, uzupełnienie smar-
ów, dolać oliwy do hydraulicz-
nych pomp, sprawdź generatory,
skontrolować wysuwanie się klap.
Praca, niestanna, wieczna pra-
ca. Brygady zawsze niekompletne,
bo przecież zawsze ktoś ma właśnie
atak malarii i koziolkuje w ma-
lignie gorączkowych snów. Praca
w żarkich, kąsających promie-
niach podświetlonego nieba lub
dla odmiennie w potokach straszli-
wej, tropikalnej ulewy, gdy zdaje
się, że to nie krople wody napel-
niają powietrze, lecz że to lejąca
z nieba woda jest przetykana
kroplami powietrza. Praca w u-
stawnym napięciu nerwowym,
praca w ustawicznej czujności.
Ostrożnie wchodzi do samolotu, bo
może tam już weszły żmije. Ostro-
żnie odsunął torbę z narzędziami,
może tam zagnieździł się już jado-
wity pajak. Nie wsuwał ręki do
nisko chmurami wyległych w jej
nieprzebytej ostępach moskitów
i komarów. Tu już wiek dwudzie-
sty nie mógł zastosować gazów
i personalny lotnisko, skazany
na całodzienną pracę w chmu-
rach latających owadów zaczął
gwałtownie tonięć. Ale na miej-
sce jednych przychodzili nowi —
i walka trwała.

WALKA PIERWOTNOŚCI Z CYWILIZACJĄ

Zawrzała walka. Dżungla rzuci-
ła zastępy nieprzeznaczonych swych
roślin, by zieloną, bujną powodzią
zalały wznoszące się człowieka
drogi, runawy, budynki. By pod
nieprzeznaczoną zasłoną zieleni
znikły bez śladu wybudowane ca-
łotygodniową pracą pod budowę
baraków. Gdy miejsca zdo-
byte na dżungli zarastały bujnym
krzewem w ciągu kilku dni —
wiek dwudziesty zastosował gaz.
Porażona gazami zieleni cofnęła się
do granicy wypalonej trzciny,
znaczącej teraz zasięg panowania
człowieka w dżungli.

Wszystko zaczęło się, gdy w dżungli
ustąpiła tylko pozornie. Zezwoliła, by człowiek
wdarł się w jej obszar — nie zre-
zygnowała z walki. Nie mogąc
zawładnąć zwykłą bronią — powo-
dowała zalewającą wszystko "kareli"
i zielonych pnaczy — dżungla za-
częła nasylać tysięczne szeregi o-
wadów i robaictwa. Pod zalewami
idących niewstrzymaną falangą
termitów znikły magazyny i skła-
dy. A gdy i pochód termitów zo-
stał zatrzymany użyciem gazów
trujących — wraz z nadejściem
wiosny dżungla zaatakowała lot-
nisko chmurami wyległych w jej
nieprzebytej ostępach moskitów
i komarów. Tu już wiek dwudzie-
sty nie mógł zastosować gazów
i personalny lotnisko, skazany
na całodzienną pracę w chmu-
rach latających owadów zaczął
gwałtownie tonięć. Ale na miej-
sce jednych przychodzili nowi —
i walka trwała.

SPOTKANIE DŻUNGLI Z DWUDZIESTYM WIEKIEM

W miarę jak wielki "Liberator"
koluje posłusznie za maleńkim
jeep'em, do kabiny wdiera się
pierwszy znak dżungli: powiew
duszy, parny, przesiąknięty zgnil-
ziną i wilgocią. Jeszcze kreca się
potężne smięta, jeszcze mechanicy
wskazują JULKOWI, w którym kie-
runku ma ustawić swego "Libera-
tora" — już cała kabina jest prze-
siąknięta tym zgnilnym zapachem
dżungli. Zapach ten będzie teraz
nieodłącznym towarzyszem przez
cały czas pobytu na położonych
wśród dżungli lotniskach. Prze-
siąknięte jest nim wszystko: ubra-
nia, potrawy, pościel, papierosy
— wszystko. Całe lotnisko tonie
w tym straszliwym, zgnilnym, du-
szącym powietrzu, w tej cieplarni-
stych woni, w tej atmosferze rozwi-
tych na rozkładających się, gniją-
cych trupach.

ROZMOWA O JEDZENIU I POCENIU SIĘ

Jeep wiezie załogę na briefing,
potem na posiłek. Jedzenie jest
przesiąknięte zapachem dżungli
i nikt z załogi nie może przem-
wstrętu i jeść, chociaż od ostatnie-
go posiłku upłynęło dziesięć go-
dzin, z tego osiem w powietrzu.
Tylko kawa i sucharki mają powo-
dzenie. Opiekujący się załogą ofi-
cer z uśmiechem patrzy, jak żoł-

skończył ostatnich, tych najmil-
szych, palonych już w łóżku papie-
rosów, gdy poderwał ich i rzucił
ku bezsilnym, osłoniętym moski-
tiera oknom czyni rozpaczliwy,
zwyjący pomoc krzyk. Tylko
captain Horn leżał spokojnie
w swym łóżku:

"Nigdy nie słyszeliście malpy-
wyćca?" — zapytał.

Załoga powróciła do łóżek. Za
oknami rozległ się śmiech. Wy-
soka nuta pół-obłąkanego, porażają-
cego słuch, wariackiego śmiechu.
Chichot niósł się kędyś od ciemnej
ściany dżungli, dzwonił nad całym
lotniskiem, odbijał się od kanady-
jskiej ściany dżungli i powracał
zmieszany echem, napelniając uszy
załogi tym nieznośnym, nie do wy-
trzymania dla nerwów białego
człowieka, wariackim śmiechem.
Spojrzenia skierowały się ku kap-
itanowi Horn'owi, który tu już był
parę razy.

"Hiena. To jeszcze nie. Do-
piero jak usłyszycie wycie dżunglo-
wych psów, będziecie sobie mogli
powiedzieć, że słyszeliście najbar-
dziej obłąkaną i grającą na ner-
wach dźwięki. Hiena to szczeniak
w porównaniu z tym, co potrafią
dzikie psy" — objaśniał Horn.

Załogę wystraszali w zupeł-
ności malpy i hieny, oraz ciągi nie-
ustanny szum — ta "gra" dżungli,
której gorączkowym motywem jest
któreś tam przecięcie stywnych
skrzydełek wielkich, rdzawo-ziel-
nych żuków. Ale dzień spędzony
w powietrzu — już dziesiąty
z rzędu dzień od chwili opuszcze-
nia kanadyjskiej bazy — i spowo-
dowane lotem zmęczenie są silnie-
jsze, niż "gra" dżungli i załoga za-
pada w niespokojny, gorączkowy
sen. Ten gorączkowy, nie dający
odpoczynku i odświeżenia sen, któ-
ry jest udziałem załóg, przeniesio-
nych w ciągu kilku dni z kanady-
jskiej zimy w tropikalną dżunglę.

SPOTKANIE Z ARAUNA I MRÓWKAMI

Jeżeli jaszczurka-smokowi nie by-
ła sądzona śmierć. Tadek unosił
w górę but, przechyla go, by nim
brzytwę uderzyć — i z krzykiem
puszcza but na ziemię. Z buta wy-
puszcza się mała, szara kulka i szyb-
ko toczy się w stronę łóżka na któ-
rym siedzi Horn. Gdy kulka do-
tacza się do jego nog, Horn unosi
spokojnie nogę i miażdży silnym
uderzeniem:

"Masz szczęście, chłopie —
mówi — to arauna. Gdybyś wsu-
dził nogę do buta, poleżałbyś parę
tygodni w szpitalu, mój i dłużej".

"A to co za cholera!" — sły-
szymy burzono głos Julka, rzuca-
jącego ze wstrętem koszule, którą
właśnie zamierzał wciągnąć na
grzbiet. Julek z wieczora zostawił
w kieszonec koszulki kawalek czeko-
lady i teraz cała koszułka jest
brzytwą pokrytą rojem drobnit-
kich mrówek. Sa wszędzie. Wy-
trząsanie koszułki pomaga bardzo
niewiele, odpadają dziesiątki mró-
wek, ale setki i tysiące trzymają
się mocno.

"Zanurz w wodzie" — dora-
dza doświadczony Horn.

Jeszcze kilka podobnych do-
świadczeń i nerwy załogi zaczyna-
ją grać. Wszyscy mają dość
dżungli, jej zapachu, jej wilgotno-
ści, duszącego wyciechem zgnilizny
powietrza, jej temperatury —
a nade wszystko jej drobnych, pel-
żających i czolągających się, wże-
dobylikszych mieszkanców. To nie
tygrysy, pumy i lamparty czynią
z dżungli piekło. Tygrys rzuca
się na człowieka tylko w Holly-
wood'skiej dżungli. W prawdzi-
wej, ucieka, nimb do człowieka zdąży
zauważyć. To to drobne, pelżające
i czolągające się stworzy, to te nie-
zliczone owady i plazy czynią
z dżungli piekło, w którym biały
człowiek, jeśli jest ostrożny, może
przeżyć dzień, ale prawie nigdy nie
przeżyje nocy, jeśli go nie chronią
baraki na palach, siatki w oknach
i rozlany wokół łóżka żrący, śmier-
zący kwas.

JASZCZURKA MÓWI "DZIEŃ DOBRY"

Tak mija gorąca, duszna, zatra-
ta wilgotnym, zgnilnym oddechem
dżungli, noc tropikalna. Gdy o
pierwszym brzasku George budzi
się ze snu, drewniane ściany ba-
raku wibrują jak napięta skó-
ra bębna. To startujące Flying
Portresses /Latające Portce-
/hukiem potężnych motorów wpra-
wiają w drżenie barak stojący na
słupkach.

OSTATNIE CHWILE PRZED ODLOTEM

George ostrożnie przegląda za-
kamarki i zakątki swej kabiny.
Któż wie, jakiego znowu gadow-
mogła przyjąć ochota zagnieździć
się w torbie nawigacyjnej, lub
obracz za mieszkanie wyłożone
miękką gumą podsektansu. Ale,
na szczęście, oprócz wielkich, zio-
listych żuków, kabina jest wolna
od mieszkających dżungli. Tylko
ten okropny, duszący zapach gniją-
jącej roślinności przeniknął już
cały samolot, weisnął się do każde-
go zakątka.

George siedzi na swym nawiga-
torskim krzeselku i niecierpliwie
oczekuje chwili zapuszczenia motó-
wa. Tym razem nie czyni żadnych
przygotowań przed lotem. Nawet
nie wykłada na mapie trasy lotu.
Woli zrobić to dopiero w powie-
trze, gdy strzałka termometru,
wskazującego temperaturę w jego
kabine opuści nierzeczyście te cyfry
130 stopni i zejdzie w dół, ku tem-
peraturze bardziej odpowiadającej
gustowi białego człowieka. Ocie-

— "W Akrze powinni też coś
podobnego zbudować" — twierdził
Julek — "przynajmniej nie mu-
siabym wyrzucić skorpionów spod
poduszki!"

"Tak" — zgodził się Tadek —
"to widać od razu, że tu jednak
dobrze dbają o przelatujące załogi.
Czuje, że wypię się, jak król!"

Aloroceto Tadek nie miało
się tej nocy spełnić. Jeszcze nie

NIEMOŻLIWY PRZECIWIENSTWO

Na skraju dżungli — oddzielone
dżunglą od świata — przykucają
prastare klaszatory buddyjskich
mnichów. Mnichy patrzą w tajem-
niczą, nieprzeznaczoną dżunglę
i snują swe rojenia o najwyższej
Istocie, obdarzając ją echemi,
które zaobserwowali u królewskich
zwierząt dżungli. Jeśli człowiek
Zachodu, przybył do nich morza-
mi — słucha pilnie ich słów i dzi-
wi się ich głębi. Ale jeśli odwie-
dzający samotnych mnichów i słuch-
ający ich nauki przybył do nich
powietrzem, poprzez niezmiernie
ostępy dżungli — odgadnie od razu,
że cała ich nauka, a przede
wszystkim ta, tak uderzająca gra-
wielką Zachodu, negacja czasu,
wzięła swój początek z obcowania
z dżunglą, z obcowania z formą
przyrody, która istnieje poza cza-
sem.

Ponad odwieczną, nieprzeznio-
ną zasłoną zielonych drzew leci
nasz "Liberator" równym, state-
cznym lotem, nawijając na piasty
swych potężnych smiętel prze-
strzeń dzielącą nas od celu. Rów-
no, miarowo dudni głuchy śpiew
motorów, jednocząc Strzałki czuj-
nych przyrządów osydlęją przed-
czyma pilota — wierma i niezawo-
dna igła żyro-kompassu wskazuje
kierunek nawigatorowi. W dole,
o 6000 stóp poniżej, tam, za zasło-
ną zielonego koberca drzew kipi
i pieni się podstępne, krwawe, o-
parte na siele głód i pazurów życie
dżungli. I George'owi siedzącemu
w zacisznej, doskonale rozwiąza-
nej technicznie kabine, zdaje
się, że ten ich lot nad dżunglą
wyraza ponad miarę zwykłych,
codziennych lotów. Że jest jakby
symbolem odwiecznej, nieustępli-
wej walki pomiędzy Ładem i Po-
stępem Zachodu, a chaosem i nega-
cją, które nie wie z sobą Wschód.
George pochyla się nad dryfto-
mierzem. W doskonałych przyra-
dkach precyzyjnego przyrządu widzi
zbliżone, przepływające pod nim
potężne konary prastarych obry-
mów dżungli. Mechanicznie odczy-
tuje dryft i podaje JULKOWI po-
prawkę kursu. Jednocześnie my-
śli:

"Tak. Tu nie może być kom-
promisu. Albo dokładna nawiga-
cja, albo śmierć. Albo "Liberator",
albo dżungla. Dżungla może na-
wet nie żywić wobec "Liberatora"
złych zamiarów, ale w zetknięciu
się z dżunglą — "Liberator" musi
zginąć. Człowiek Zachodu nie mo-
że istnieć w dżungli. Jeśli jest bar-
dzo ostrożny, potrafi przeżyć dzień,
ale nigdy nie przeżyje nocy".

Ponad niezmiernymi obszarami
niezbadanymi, ciemnymi, na któ-
rym rozpięta była karta ich prze-
lotu. Równo wykresłona linia
trasy przecinała białą obszar z na-
pisem "unsurveyed jungle". Po-
preczne, krótkie kreśli, tak zwa-
wane "linie pozycyjne", otrzymane
z namiarów na słońce, przecinały
trasę i pozwalały dokładnie okre-
ślać szybkość samolotu względem
ziemi. Szybkość ta wynosiła 195
mili na godzinę i najdalej za 40 mi-
nut "Liberator" miał postawić
dżunglę poza sobą i wejść nad bar-
dziej "ludzki" obszar. Należało
sprawdzić raz jeszcze, czy nie
zmieniły się wiatry i czy dryft jest
wciąż ten sam, to jest "2 stopnie
port". Patrząc na przesuwaną
— w dole dżunglę, George raz
jeszcze mimowolnie powtórzył
głośno swe myśli:

DŻUNGLA WIDZIANA Z GÓRY

"Liberator" leci na wysokości
800 stóp. W dole rozciąga się zie-
lona, puszysta dżungla. Odwieczne
drzewa, których nie tknęła nigdy
ręka człowieka, rozrosły się tak
licznie, że w wysięgu o dostęp do
życiodajnego promienia słońca zda-
ją się wachlarz przed siebie, spychając
się w ciemny, mroczny gąszcz.
Z wysokości 800 stóp widać wy-
raznie, jak splacone konary po-
tężnych drzew zdają się formować
głębokie, nieprzebytej dach zieleni,
nieprzebytej zasłone, pod którą
kryje się jakieś życie tajemnicze,
nieznane, zasłonięte przed oczyma
ludzkimi. Gdy czasem promień
słońca przebija się przez tę zieloną
zasłonę, zaczynać tam — w dole,
pod gałęziami odwiecznych drzew

— "Nie bardo" — odpowiada
George — "wierzylem, że potrafi-
sz, że potrafiś radę a w stateczności,
że potrafiś podłożyć grzebień i roz-
bijając załogi!"

"Tobie dobrze — masz kogós,
w kogo wierzysz" — zazdroszcie
George'owi skipper — "ja bo mu-
szę polegać tylko na sobie samym.
Start miły nie był — na ten temat
to szkoda słów".

"Spójrz w dół — widoczek
też niepocięzający" — odpowia-
da George.

George ostrożnie przegląda za-
kamarki i zakątki swej kabiny.
Któż wie, jakiego znowu gadow-
mogła przyjąć ochota zagnieździć
się w torbie nawigacyjnej, lub
obracz za mieszkanie wyłożone
miękką gumą podsektansu. Ale,
na szczęście, oprócz wielkich, zio-
listych żuków, kabina jest wolna
od mieszkających dżungli. Tylko
ten okropny, duszący zapach gniją-
jącej roślinności przeniknął już
cały samolot, weisnął się do każde-
go zakątka.

George siedzi na swym nawiga-
torskim krzeselku i niecierpliwie
oczekuje chwili zapuszczenia motó-
wa. Tym razem nie czyni żadnych
przygotowań przed lotem. Nawet
nie wykłada na mapie trasy lotu.
Woli zrobić to dopiero w powie-
trze, gdy strzałka termometru,
wskazującego temperaturę w jego
kabine opuści nierzeczyście te cyfry
130 stopni i zejdzie w dół, ku tem-
peraturze bardziej odpowiadającej
gustowi białego człowieka. Ocie-

— "Nie bardo" — odpowiada
George — "wierzylem, że potrafi-
sz, że potrafiś radę a w stateczności,
że potrafiś podłożyć grzebień i roz-
bijając załogi!"

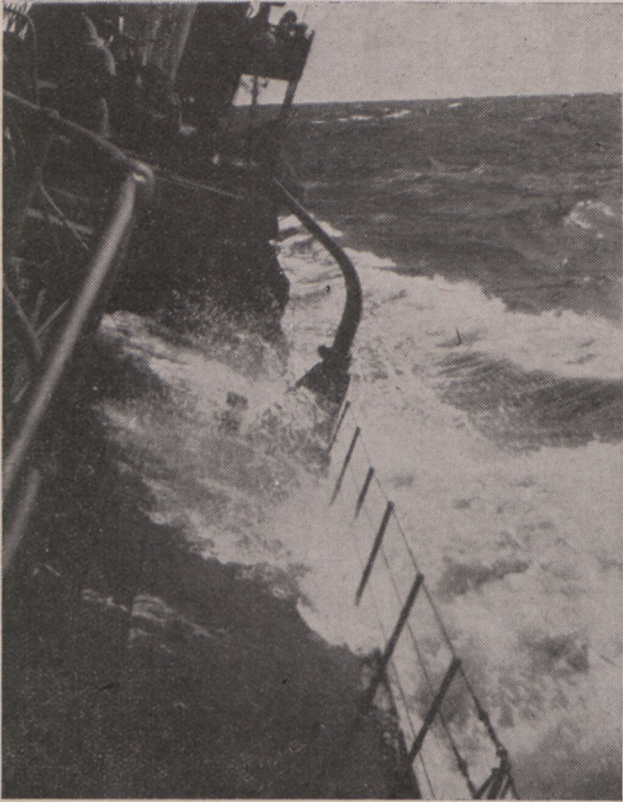
"Tobie dobrze — masz kogós,
w kogo wierzysz" — zazdroszcie
George'owi skipper — "ja bo mu-
szę polegać tylko na sobie samym.
Start miły nie był — na ten temat
to szkoda słów".

"Spójrz w dół — widoczek
też niepocięzający" — odpowia-
da George.

George ostrożnie przegląda za-
kamarki i zakątki swej kabiny.
Któż wie, jakiego znowu gadow-
mogła przyjąć ochota zagnieździć
się w torbie nawigacyjnej, lub
obracz za mieszkanie wyłożone
miękką gumą podsektansu. Ale,
na szczęście, oprócz wielkich, zio-
listych żuków, kabina jest wolna
od mieszkających dżungli. Tylko
ten okropny, duszący zapach gniją-
jącej roślinności przeniknął już
cały samolot, weisnął się do każde-
go zakątka.

* Por. poprzednie części cyklu
w nr. 38, 43, 48, 51-52 "Polski Wal-
czacz" z ubr.

Postój w Ostendzie



W sztormie

PATROL NA NIEOBECNE ŚCIGACZE

Rzuca strasznie, fala krótka, wiatr pewnie 7, 8, szkwały tną deszczem — krótko mówiąc pogoda psia. Szwendamy się na patrolu przeciwko ścigaczom, ale wiemy, że to nie ma najmniejszego sensu, bo w taką pogodę ścigaczowi nie sposób wyjść na morze. Nas tu na malej szybkości nieraz tak potrzęsie, że aż błąd doktor wylatuje z kabiny, biegnie do mesy, aby zapytać pierwszego z brzegu: — „Jak d ugo to potrwa?”

— „Jak długo C.-in-C. będzie się namyślał, aby skasować patrol?” — mówi dowódca do oficera wachtowego.

Porucznik chce być lojalny i w stosunku do C.-in-C. i w stosunku do dowódcy i zamiast odpowiedzi zaczyna zwracać uwagę sternikowi.

— „Daj mu pan spokój” — wtrąca się dowódca — „w taką pogodę nie można żądać cudów, rzuca, jak diabli”. Jednocześnie robi unik, bo znowu szkwał chlusnął deszczem w oczy.

KOLACJA, KTÓRA MA SIĘ SKOŃCZYĆ W OSTENDZIE

Patrol dłużył się, jak odprawa oficerska. Jedynie dzwonek z radiostacji, sygnalizujący, że trzeba wyciągnąć depezę, wprowadza chwilowe ożywienie. A może to sygnał odwołujący patrol? Ale gdzie tam. Przyszli rozkład konwojów, później patroli, później odwołanie własnych ścigaczy z morza, później stan pogody. Wczytaliśmy, że tu gdzie się znajdujemy jest sztorm, jakbyśmy tego nie czuli. A odwołania, jak nie ma, tak nie ma.

O pół do ósmej, jak zwykle, stolicy zameldował dowódca:

— „Panie kapitanie, kolacja na stole”.

Dowódca poczłapał na dół do siebie, zrzucił przemoknięty płaszcz, wytarł twarz ręcznikiem i zaczął się grzać przed elektrycznym piecykiem. Fala biła o burzę, a wiatr roznosił bryzgi, aż po nadbudówce, w której mieściła się kabina dowódcy. Za każdym uderzeniem fali, za każdą komendą do steru, jakiś wewnętrzny instynkt, znany chyba tylko dowódcom okrętów i kapitanom statków — podrywał go, aby iść na pomost. Kolację lyktał, prawie nie żując. „Stąd te komplikacje żołądkowe” — myślał.

Raptownie zadzwieczał dzwonek, przywołujący go do tuby głosowej, połączonej z pomostem. Doskoczył, jak oparzony.

— „Panie kapitanie, patrol odwołany, mamy iść do Ostendy”.

— „Zaraz przychodzę” — odskrzyknął i szybko kończył herbatę.

— „Do Ostendy, to świetnie, narzeczcie po tylu latach na kontynencie. Tam jest pewnie dużo owoców” — myślał.

NOC, KTÓRA MIAŁA BYĆ SPOKOJNA

Pokrzepiony i rozgrzany kolacją rażno wybiegł na pomost. Oficer nawigacyjny miał już przygo-

towane mapy, kanały i kursy. Tylko iść. Niestety w taką pogodę nie można było iść szybko i trzeba było więc się sztormowymi dziesięcioma węzłami, ale za to w perspektywie noc w koi, a jutro Ostenda.

Dopiero około północy rzucono kotwicę. Na redzie stało kilka statków, dwa traulery, jeden kontrtorpedowiec. Dowódca wybrał militarną część redy i zakotwiczył trochę w przodzie przed kontrtorpedowcem. Pogoda się nieco wyjaśniła, to znaczy wiatr rozhułał się jeszcze bardziej, ale niebo wypogodziło się i nawet wzeszedł księżyc.

Zarządzono odbój, dla maszyn pięciominutowe pogotowie.

Kiedy dowódca zszedł z pomostu do kabiny — obok koi zasłanej do spania dymiła na stoliku szklanka gorącego kakao. Pokusa była silna. Ale oparł się jej zwycięsko.

— „Polożę się w ubrani, bo nie wiadomo, co zajdzie w nocy”. — Zwrócił się do stołowego: —

— „4 szekle, 3 szekle, 2 szekle, 1 szekiel, kotwica puściła”.

Chcę się śmiać na to „kotwica puściła” — przecież wcale nie trzymała.

— „Kotwica nad wodą, czysta” — przychodzi meldunek z dziobu. „Obie pół naprzód”.

Mijamy znowu kontrtorpedowiec, który nam sygnalizuje: — „Are you all right?”

— „Dziękuję, all right” — odpowiadamy.

czął przez megafon wolać do bosmana okrętowego na dziób, aby podnoszono kotwicę.

— „Jeszcze nie ma drenażysty” — zahuczał bosman i sam zaczął majstrować przy windzie kotwicznej.

Okręt tymczasem niosło z falą, wiatrem i prądem. Łańcuchem szarpa o, wstrząsy czuć było aż na pomoście.

Wreszcie zjawił się drenażysta i winda zaczęła pracować, maszyny zameldowały gotowość, dowódca dał rozkaz: „obie wolno naprzód” i sytuacja wydawała się jakby wyklarowana. Ale, gdzie tam. Zimnokrwisty sygnalista melduje:

— „Zbliżamy się do destroyera”.

A niech cię. Mimo „wolno naprzód” — idziemy do tyłu. Nie da już rady wykręcić się. Trzeba zmienić ideę manewru. „Winda stop”. „Obie maszyny stop, lewa pół wstecz” — padają rozkazy. Idziemy ostrym gazem wstecz, przechodzimy około dwudziestu metrów od kontrtorpedowca. Byłe kotwica nie zawadziła o jego łańcuch. Minęliśmy szczęśliwie. „Lewa stop, obie wolno naprzód, kotwica do góry”. Powoli zatrzymujemy się, zastępca z dziobu wrzeszczy:

— „4 szekle, 3 szekle, 2 szekle, 1 szekiel, kotwica puściła”.

Chcę się śmiać na to „kotwica puściła” — przecież wcale nie trzymała.

— „Kotwica nad wodą, czysta” — przychodzi meldunek z dziobu. „Obie pół naprzód”.

Mijamy znowu kontrtorpedowiec, który nam sygnalizuje:

— „Are you all right?”

— „Dziękuję, all right” — odpowiadamy.

PO KONTRTORPEDOWCU TRAULER

Idziemy dalej. Fala większa, niż wczoraj na patrolu. I to ma być kotwiczowisko? Ale coż robić?

Wykręcamy się pod wiatr i falę. „Obie stop, kotwicę rzuć, obie wolno wstecz”. Zgrzyt, łańcuch bije po dziobie, leci w dół. Zastępca melduje:

— „1 szekiel, okręt idzie wolno naprzód, 2 szekle, okręt stoi, 3 szekle, okręt idzie wolno wstecz”.

— „Luzować cały łańcuch” — pada z pomostu, za chwilę: —

— „obie stop”. I teraz oczekiwanie.



U wejścia do portu

— „Sprzątnijcie to i dajcie mi tylko koc”.

Zdjął buty, okrył nogi kocem i wyciągnął się na koi. Około 3-ej nad ranem, ujrzał nad sobą przerażoną twarz wachtowego, który tarmosił go za ramię i łamliwym głosem meldował:

— „Panie kapitanie dryfujemy”

Kapitan zerwał się, krzyknął za znikającym wachtowym:

— „Natychniastowe pogotowie dla maszyn”.

Wskoczył w buty, po drodze złapał lornetkę i czapkę i już był na pomoście.

WYMIJAMY KONTRTORPEDOWIEC

Tam oficer dyżurny usiłował nawiązać łączność telefoniczną z maszynownią. Sygnalista z obojętną miną patrzył na księżyc. „Ten się psiakrew niczym nie przejmuje” — zdążył pomyśleć dowódca i za-

Złapie kotwica, czy nie?

— „6 szekli” — wrzeszcza z dziobu — „kotwica nie trzyma”.

Widzimy to na pomoście sami.

— „Może chwyci na dryfie” — mówi dowódca, jakby szukając porparcia czy może współzucia.

— „Dryfujemy” — wrzeszcza z dziobu.

— „Zbliżamy się do traulera” — melduje obojętnym głosem zimny drań-sygnalista. — „Woła nas”.

Trauler morsuje: „Zdaje się dryfujemy”.

Dowódca syczącym głosem każe odpowiedzieć: „You are very clever”*** — po chwili zmienia jednak na: „You are perfectly right”*** — Nie zmienia to jednak sytuacji...

Flegmatyk melduje z lekką sa-

* Czy wszystko w porządku?

** Jesteście bardzo mądrzy.

*** Macie całkowitą słuszność.

tysfakcją w głosie:

— „Trauler też dryfuje”.

No to pysznie. Tylko, gdzie tu wykręcić, z tyłu trauler, z boku kontrtorpedowiec, z drugiej strony statki handlowe i wrak. Najlepiej jeszcze z prądem. Dryfujemy z traulerem, ale my dryfujemy

szybciej i odległość od traulera zmniejsza się. Trzeba iść naprzód. „Obie pół naprzód”, okręt jakby się zatrzymał. Naraz telefon z maszynowni, zgłasza się sygnalista:

— „Panie kapitanie, melduje: Oficer mechanik prosi dowódcę”.

— „Co tam?”

— „Panie kapitanie, coś mamy na prawym wale, ciśnienie oliwy rośnie, obroty spadają. Czy można zatrzymać prawą maszynę?”

— „A niech cię licha, tak, zatrzymać, tylko co to może być?”

— „Może łańcuch kotwiczny traulera” — podpowiada nawigator. — „Możliwe” — wzdycha dowódca i każe nadać sygnał na trauler: „Odczepcie swój kotwiczny, mamy go na wale”.

— „Panie kapitanie, coś mamy na prawym wale, ciśnienie oliwy rośnie, obroty spadają. Czy można zatrzymać prawą maszynę?”

— „A niech cię licha, tak, zatrzymać, tylko co to może być?”

— „Może łańcuch kotwiczny traulera” — podpowiada nawigator. — „Możliwe” — wzdycha dowódca i każe nadać sygnał na trauler: „Odczepcie swój kotwiczny, mamy go na wale”.

— „Panie kapitanie, coś mamy na prawym wale, ciśnienie oliwy rośnie, obroty spadają. Czy można zatrzymać prawą maszynę?”

— „A niech cię licha, tak, zatrzymać, tylko co to może być?”

— „Może łańcuch kotwiczny traulera” — podpowiada nawigator. — „Możliwe” — wzdycha dowódca i każe nadać sygnał na trauler: „Odczepcie swój kotwiczny, mamy go na wale”.

— „Panie kapitanie, coś mamy na prawym wale, ciśnienie oliwy rośnie, obroty spadają. Czy można zatrzymać prawą maszynę?”

— „A niech cię licha, tak, zatrzymać, tylko co to może być?”

— „Może łańcuch kotwiczny traulera” — podpowiada nawigator. — „Możliwe” — wzdycha dowódca i każe nadać sygnał na trauler: „Odczepcie swój kotwiczny, mamy go na wale”.

— „Panie kapitanie, coś mamy na prawym wale, ciśnienie oliwy rośnie, obroty spadają. Czy można zatrzymać prawą maszynę?”

— „A niech cię licha, tak, zatrzymać, tylko co to może być?”

— „Może łańcuch kotwiczny traulera” — podpowiada nawigator. — „Możliwe” — wzdycha dowódca i każe nadać sygnał na trauler: „Odczepcie swój kotwiczny, mamy go na wale”.

— „Panie kapitanie, coś mamy na prawym wale, ciśnienie oliwy rośnie, obroty spadają. Czy można zatrzymać prawą maszynę?”

— „A niech cię licha, tak, zatrzymać, tylko co to może być?”

— „Może łańcuch kotwiczny traulera” — podpowiada nawigator. — „Możliwe” — wzdycha dowódca i każe nadać sygnał na trauler: „Odczepcie swój kotwiczny, mamy go na wale”.

— „Panie kapitanie, coś mamy na prawym wale, ciśnienie oliwy rośnie, obroty spadają. Czy można zatrzymać prawą maszynę?”

— „A niech cię licha, tak, zatrzymać, tylko co to może być?”

— „Może łańcuch kotwiczny traulera” — podpowiada nawigator. — „Możliwe” — wzdycha dowódca i każe nadać sygnał na trauler: „Odczepcie swój kotwiczny, mamy go na wale”.

— „Panie kapitanie, coś mamy na prawym wale, ciśnienie oliwy rośnie, obroty spadają. Czy można zatrzymać prawą maszynę?”

— „A niech cię licha, tak, zatrzymać, tylko co to może być?”

— „Może łańcuch kotwiczny traulera” — podpowiada nawigator. — „Możliwe” — wzdycha dowódca i każe nadać sygnał na trauler: „Odczepcie swój kotwiczny, mamy go na wale”.

— „Panie kapitanie, coś mamy na prawym wale, ciśnienie oliwy rośnie, obroty spadają. Czy można zatrzymać prawą maszynę?”

— „A niech cię licha, tak, zatrzymać, tylko co to może być?”

— „Może łańcuch kotwiczny traulera” — podpowiada nawigator. — „Możliwe” — wzdycha dowódca i każe nadać sygnał na trauler: „Odczepcie swój kotwiczny, mamy go na wale”.

— „Panie kapitanie, coś mamy na prawym wale, ciśnienie oliwy rośnie, obroty spadają. Czy można zatrzymać prawą maszynę?”

— „A niech cię licha, tak, zatrzymać, tylko co to może być?”

— „Może łańcuch kotwiczny traulera” — podpowiada nawigator. — „Możliwe” — wzdycha dowódca i każe nadać sygnał na trauler: „Odczepcie swój kotwiczny, mamy go na wale”.

— „Panie kapitanie, coś mamy na prawym wale, ciśnienie oliwy rośnie, obroty spadają. Czy można zatrzymać prawą maszynę?”

— „A niech cię licha, tak, zatrzymać, tylko co to może być?”

— „Może łańcuch kotwiczny traulera” — podpowiada nawigator. — „Możliwe” — wzdycha dowódca i każe nadać sygnał na trauler: „Odczepcie swój kotwiczny, mamy go na wale”.

— „Panie kapitanie, coś mamy na prawym wale, ciśnienie oliwy rośnie, obroty spadają. Czy można zatrzymać prawą maszynę?”

— „A niech cię licha, tak, zatrzymać, tylko co to może być?”

— „Może łańcuch kotwiczny traulera” — podpowiada nawigator. — „Możliwe” — wzdycha dowódca i każe nadać sygnał na trauler: „Odczepcie swój kotwiczny, mamy go na wale”.

— „Panie kapitanie, coś mamy na prawym wale, ciśnienie oliwy rośnie, obroty spadają. Czy można zatrzymać prawą maszynę?”

z maszynowni: „Zdaje się, że rufowa kotwica chwyciła”. „Lewa stop”. Istotnie zaczynamy się wykręcać rufą do wiatru. Cóż za świetny kawał, zakotwiczyliśmy na cudzej kotwicy, zapłatanej we własny wał śrubowy. Nie wiadomo, czy śmiać się, czy ryczeć ze złości.

Księżyce wyraźnie drwił z ponurej miny kapitańskiej.

Ekipa kotwiczna dostała rum, maszyniści zabrali się do skraplacza. Był zaphany śledzi. Przeszliśmy widać przez jakąś ławicę; wybrano dwa pełne wiadra.

“CUD” Z ŁAŃCUCHEM, MGLA I ŚLEDZIE

Dowódca ciągle sterczał na pomoście. Rankiem trochę ścięło, ale fala była wciąż duża i trwał problem, jak się wypłatać z cudzego łańcucha. Posłano sygnał na ład z żądaniem przysłania nurka.

Ale nim się nurk zjawił, kotwica puściła. Nie tyle kotwica, ile łańcuch. Odwinął się sam z walu. Nie do uwierzenia, ale odwinął się sam.

Kotwica widać dobrze zachwyliła, a prąd i wiatr mocno tarmosił okrętem, tak że powoli, powoli łańcuch się odwinął. Było trochę emocji i strachu, czy skrzydła śruby nie pogięte, ale przy ruszaniu prawą maszyną nie było żadnych wibracji.

— „No jakoś się wykaraskali” — odsapnął dowódca i tym razem szczęśliwie rzucił dwie kotwice.

Ale już mu nie w głowie było wyjście na ład w Ostendzie. Zadowolili się oglądaniem przez lornetkę promenady i zabitych deskami hotelowych okien.

Po obiedzie przyszedł sygnał, że jeśli uważamy, iż pogoda jest absolutnie nieodpowiednia dla ścigaczy, to możemy zostać na kotwicy w natychmiastowym pogotowiu z tym, że o ile pogoda się poprawi, to zaraz wyjść na patrol.

Drugi artylerzysta, dawny „ścigaczowicz”, wezwany na arbitra, orzekł, że pogoda absolutnie się nie nadaje i zostaliśmy przez noc na redzie. Gdzieś nad ranem wiatr ścięł zupełnie, a potem i fala zaczęła się zmniejszać. Widoczność jednak malała i zupełnie nieoczekiwanie przyszyła mgła.

— „Może do wieczora przejdzie” — pocieszał dowódcę nawigator — „trochę wiatru jeszcze jest”.

Ale mgła nie przeszła. I trzeba było prawie poamacku wychodzić z redy, obejść dwa wraki, iść łamanym kanałem, wymiwać zakotwiczony konwój i jeszcze jeden wrak. Jak się obyło bez wypadku /odstukać/, tego naprawdę nikt nie wie. Bo gdy wyszliśmy na czyste wody istniały trzy hipotezy: „Gdzie jesteście?” Wybraliśmy, jak zwykle w takich razach pozycję środkową i jakoś tam trafiliśmy na patrol...

Nazajutrz dowódca zauważył w nieogolonej od trzech dni brodzie — kilka siwych włosów.

— „Zachciało ci się Ostendy” — mruknął.

Jedyna pociecha: na obiad były świeże śledzie.

LEOPOLD MILANOWSKI

W kuchni myśliwskiej

Dyplom pilota dostajesz, bracie, już w Torturton,* ale dopiero Wrednal robi z ciebie myśliwca. Inną co do tego usłyszysz opinię po przyjściu do dywizjonu, powie- dzą ci tam, że twoje szkolenie do- piero się ZACZNIE, ale, nominal- nie Wrednal uczy cię latać opera- cyjnie, jako że jest to O.T.U. — *Operational Training Unit*.

Naturalnie, lata musiały upły- nąć już od czasu, jak zacząłeś szko- lenie z myślą o lataniu w tej woj- nie. Jeżeli decydujesz się dopiero teraz, to prawdopodobnie będziesz latał na raketach w następnej wojnie, międzyplanetarnej. Bo wyszkolenie myśliwca — to nie tylko sprawa pieniędzy, twoich cier- pień moralnych, reumatyzmu in- struktora — to również i kwestja długiego czasu.

W skrócie edukacja myśliwca wygląda tak: A.C.T.C., I.T.W., E.F.T.S., S.F.T.S., O.T.U. *Simple, isn't it?*** — Cierpliwości, zaraz się wszystko odcyfruje.

Punktem wyjściowym jest oczy- wiście — Blackpool /Blackpool również będzie punktem przy- ściowym/. Tutaj przechodzisz przez pierwszą próbę charakteru: nierobstwo, pijaństwo, rozpusta. Jeżeli uda ci się ująć cało przed tą trójgłową hydrą — Komisja Se- lekcyjna będzie już tylko prostą formalnością.

Czekasz dni i tygodnie na przy- dział do A.C.T.C. — *Air Crews Training Course* — rodzaj wstęp- nej klasy na ziemi dla tych, co chcą szaleć po niebie. Co dzień mówią ci, że *posting**** będzie już na pewno jutro, aż po paru miesią- cach przychodzi jutro, pakują cię wraz z kilkudziesięcioma kolegami do pociągu i wiozą do — Faknal. Jest to jednocześnie szko- la pilotażu elementarnego /E.F.T.S./: widok starszych ko- legów, którzy właśnie zaczynają latać, ma cię odstraszyć od zami- aru zostania pilotem.

Na razie jesteś boleśnie zrani- ony rannym wstawaniem i życiem w baraku po blackpoolskim, bądź co bądź — pensjonacie. Potem się przyzwyczajasz i coraz bardziej przejmujesz się wykładami, a zwłaszcza brzęczykiem. Jeżeli nie byłeś nigdy harcerzem, alfabet Morse'a wydaje ci się nierozwią- zalną zagadką. Powiadasz: mowy nie ma, żebym kiedykolwiek osią- gnął tempo piętnaście, a poza tym — jak ja mam odróżnić l od f i c od z? — Po miesiącu odbierasz lekko tempo czterdzieści i pog- niasz instruktora, żeby nadawał sześćdziesiąt.

Już w A.C.T.C. zaczynają cię interesować krakusy — lotników temat nr. 1. Koledzy z kursu pilo- tażu na miejscowym lotnisku ro- bią, co mogą, żeby ci dostarczyć materiału do dyskusji, rozmyślań i snów.

Po paru miesiącach A.C.T.C. są- dzisz, że jesteś ekspertem w rze- czach z teorii latania. Jeżeli twoi dowódcy sądzą, że umiesz choć pięć procent tego, co sam mnie- masz, że umiesz — dostajesz pro- mocz do następnej klasy pilotażu, ciągle teoretycznego, czyli do I.T.W. — *Initial Training Wing*.

To nie żarty. To już jest szkoła w porównaniu z freblówką w A.C.T.C. Kujesz dniami i wie- czorami, głowa puchnie od wzorów matematycznych, reguły fizyki mieszają się z *King's Regulation***** zdobywasz rozległy za- sób wiadomości, z których więk- szość nie będzie ci nigdy potrzeb- na; z wyjątkiem — do egzaminu.

Tutaj spotykasz się z kolegami, którzy właśnie ukończyli pilotaż elementarny i przyjechali na urlop, specjalnie po to, żeby ci o- powiedzieć o trudnościach i nie- bezpieczeństwach latania. Któż może dorównać ich wyczynom i bo- haterstwu!! Z dobrego serca, jak przyjaciele, doradają ci zrezygno- wać z pilotażu. — "Nawet nie wy- laszujesz się — powiadają — po co narażać się na wstyd i stratę czasu?" — "Tylko geniusz może skończyć kurs" — opiniuje jeden z licznych geniuszów. — "Wyrzu- cają z kursu co drugiego" — twierdzi jeden z tych drugich.

Teraz, braciszku, masz drugą po blackpoolskiej próbę charakteru: próbę odporności i silnej woli. Je- żeli wytrzymasz nerwowo wszyst- ko, co słyszysz od faknałskich bohaterów, a egzaminy zdasz O.K. — nic już nie stoi na drodze do rozpoczęcia prawdziwego latania: jedziesz z powrotem do Faknal, tym razem do E.F.T.S. — *Elementary Flying Training School*.

"Tiger Moth" jest, jak wiado- mo, najłatwiejszym i najbezpiecz- niejszym na świecie samolotem, więc pilotaż nie sprawi ci trudno- ści. /... "W Ameryce małe na- uczyli latać" ... i t.d./ Uważaj tylko, żeby nie naraził się in- struktorowi przypuszczeniem, że on mniej wie o lataniu operacyj- nym, niż ci, co latają w operacji. On wprawdzie od pięciu lat lata na "Tiger Moth'ach", ale za to przed wojną latał na "Potezie", więc i myślistwo i bombardowanie ma w małym palcu lewej nogi.

Niedaleko Faknal leży Tortur- ton, wyższa szkoła pilotażu. W Torturton zaczynasz specjalizo- wać się na "myśliwca" — na "Mastrach", lub na bombowcach — na dwusilnikowych "Oxfordach". Wybór głównie od ciebie zależy, ale wybrać trudno, bo jeszcze przed ukończeniem "Tiger Moth'a" spotykasz się z kolegami z Torturton, którzy informują cię mniej więcej tak:

Ci z "Mastra": że "Master" jest maszyną w najwyższym stop- niu niebezpieczną; nie wychodzi z korkociągu; w akrobacji skrzy- dła odlatują; po starcie często się pali; w nocy sam bierze kurs do Newark — na cementarz.

Ci z "Oxfordów": że dwusilni- kowa maszyna jest dla ciebie za trudna; z nawigacją bombowca nie dasz sobie rady; "Oxford" nie wybaczają błędów pilotażu i tylko najwyższej klasy piloci mogą na nim latać.

Wielu z tych, co przypisują so- bie najwyższą klasę pilotażu, re- zygnuje więc z "Mastra", jako że właśnie "Oxford" wydaje im się samolotem na ich miarę. Ty jed- nak, który czujesz zaufanie do sa- mego siebie, choć za wysoko się nie cenisz, a nocami śnisz o my- śliwskim lataniu — nie zrażasz się plotkami o "Mastrze"-latającej

leś niedozwolony niski lot, pikowa- nie i niskie akrobacje.

Teraz z reguły następuje okres "długo, długo nie". Bo dostać się od razu z Torturton do Wrednal — z S.F.T.S. do O.T.U., trafia się bardzo, bardzo niewiele. Normal- nie, idziesz "ciągać rękawy", gdzieś do Szkocji, gdzie o tej po- rze roku wieczna noc panuje. To jeszcze jedna próba charakteru, próba cierpliwości i wytrwałości. Kilka razy dziennie startujesz na jakimś, rozlatującym się gracie i wypuściwszy rękaw, do którego strzela myśliwiec lub strzelec z "Wellingtona", mersedas nim tam i z powrotem, tam i z powrotem, po prostej, równo, spokojnie, po- wolotku. Bez akrobacji, bez gwał- townych skrętów — *no fun, no nothing!**

I nie sądz, broń Boże, że wy- głupkami w powietrzu przyśpie- szysz swoje latanie operacyjne. Tak sądził Bodzio i próbował cią- gać rękaw po ziemi zamiast po nie- bie, przed strzelcami, dla których miał być celem, chował się za drze- wa, a wreszcie próbował na "Anso- nie" zabić dowódcę stacji. Sądził, że z taką ikra szybko pojedzie do O.T.U. Well,** na razie poszedł do Blackpoolu i tam ma szansę prze- życia wojny.

Tymczasem cisi i łagodnego ser- ca wkońcu przecież do Wrednal się dostaną. Ktoregoś wieczoru wy- siadasz z pociągu na maleńkiej stacyjce oświetlonej jedną lampą naftową; tam czeka na ciebie i na twój багаж mała lorka, t.zw. śmie- ciarka, z uśmiechniętą drajwerką.

— "Dokąd najpierw?" — pyta dziewczę. Z początku myślisz, że ona ci proponuje wstąpić do *pub'u**** na rozgrzewkę, ale ona tylko pyta, czy chcesz jechać do messy, do do- wództwa, czy do swego baraku. Bo twój barak jest o milę od messy,

"Mastrze", "Spitfire" jest objawie- niem niezemskich rozkoszy my- śliwskiego latania. Od pierwszego lotu na zawsze JA pokochasz /"Spitfire" jest SHE!*/.

Nie może być inaczej, musisz ją pokochać. Przypatrz jej się naj- pierw na ziemi, kiedy stoi grze- cznie i cicho, na smukłych, skro- mnie ściągniętych goleniach /nie bezwstydnie rozstawionych w "szpagat", jak u "Mastra"/, na- ciesz się widokiem prześlicznych krzywizn płotów i ogona, pogłaszcz włókosz między kadłubem a sta- tecznikiem pionowym, wyczuł ręką, jak cienkie i ostre są koniusz- czki skrzydeł, posłuchaj, jak na stuknięcie palcem śmigło zadzwoni srebrzyscie i głęboko.

Potem wejdź do kabiny; przy- jemnie jest wchodzić do samolotu, nie drapiąc się po szczeblach, ukry- tych stopniach i przycinających palce sprężynowych zapadkach: po prostu jeden krok na skrzydło, drugi do kabiny i już jesteś w środku.

Rozglądasz się po wnętrzu: co tu tego, co tu tego! — instrumen- ty, zegary, skale, wyłączniki, lampki, klapy, guziki, pompki, manetki, dźwignie, spusty, zatrza- ski. Robisz systematyczny prze- gląd, "od lewej do prawej", i znaj- dujesz wiele rzeczy, już dobrze ci znanych, tylko w innych miejscach. Aha, dźwignia podwozia, nie z le- wej, jak w "Mastrze", tylko z pra- wej /jeszcze przez dobre kilka ty- godni będziesz na próżno macał po lewej stronie kabiny po każdym starcie/. Dźwignia klap — ależ to nie "dźwignia", to języczek z przo- du i góry po lewej, Bogu dzięki — nie będzie się przez pomyłkę cho- wać podwozia zamiast klap po wy- lądowaniu.

Teraz chcesz zaraz lecieć, ale, kochany, przedtem musisz podpi- sać cyrograf, że znasz instalacje

między mocą, którą wyzwoliłeś drobnym ruchem ręki, a niepozor- ną masą całej maszyny razem z to- bą samym. Czujesz się porwany i bezbronny: to nie ty prowadzisz maszynę, to ona cię unosi, sama odrywa się od ziemi i drze w niebo wbrew twoim wysiłkom poskro- mienia jej. Chcesz zrobić zakręt na wysokości tysięcy stóp i wid- zisz, że masz już trzy tysiące; oglądasz się w stronę lotniska i znajdujesz je trzy razy dalej z tyłu, niż przypuszczałeś.

Powoli przychodzisz do siebie, jesteś na bezpiecznej wysokości ośmiu tysięcy stóp, rozejrzałeś się po okolicy i poświęcasz się pozna- niu swej maszyny, zaczynasz ją nieśmiało ujeżdżać. Wpadasz w zachwyt nad lekkością i posłu- szeństwem sterów — ona nie za ręką, ale za myślą pilota chodzi /dlatego nie myśl o głupstwach i nie bądź bezmyślny, kiedy lataasz na "Spitfire'ze"/. Pikujeasz i z rosnącym wzruszeniem śledzisz na zegarze rosnącą szybkość — do ta- kich cyfr jeszcze nie dochodziła wskazówka szybkościomierza na znanych ci samolotach. Wyciągasz z piki i czujesz, jak sparializowane nogi nie zdolne są dźwignąć kolan o cal, jak skóra i mięśnie twarzy zwiły ku dołowi, a z nosa kapie obficie w maskę tlenową. Ostro- żnie, braciszku, ostrożnie z g,* bo zamroczysz!

Z bojaźnią w sercu wkładasz do beczki i nagle śmiejesz się ze szczę- ścia i podziwu, bo dla tej cudow- nej maszyny lecieć beczkami, czy po prostej — to mała różnica. Wy- ciągasz w pętlę, a mądra maszyna nie pozwala ci ściągnąć więcej, niż wolno — czujesz opór drążka i tyl- ko martwisz się, czy w tak łago- dnej pętli nie wytracisz szybko- ści: gdzie tam, przeszedłeś przez plecy i jeszcze ci blisko dwieście *m/ph*** zostało.

Upojony rozkoszą tego pierw- szego z nią sam-na-sam powracasz na lotnisko /jeżeli je możesz tak zaraz odnaleźć/. Wchodzisz w run- dę, wytracasz szybkość przed ot- warceniem podwozia, pamiętasz, że masz mieć sto czterdzieści, ale już przy stu sześćdziesięciu zaczynasz czuć się nieswojo: dziwna cisza robi się po tamym locie na wyso- kich szybkościach, czy aby szybko- ściomierz działa? Wypuszczasz podwozie, wypuszczasz klapy i na- głe czujesz, że ca'a potęga i groza tysięcy sześciuset koni znikła, sa- molot robi się lekki i nośny, jak gazela, i gdybyś nie bał się obra-zić swej królowej, porównałbyś ją teraz do — "Tiger-Moth'a".

Żeby utrzymać właściwą szyb- kość, musisz zadrzeć nos nad ho- ryzont, masz wciąż o dwadzieścia mil za dużo i wciąż ci się zdaje, że lecisz za wolno, niebezpiecznie za wolno. Podprowadzasz do lądowa- nia i teraz wiesz, żeś miał za dużą szybkość, bo maszyna niesie się i niesie. No, klapa, Bogu dzięki, a raczej nie klapa, tylko spłynęła lekko na *runway*, potoczyła się gładko do skrzyżowania i sama łagodnie zakreśliła, gdzie trzeba.

Zakołowałeś na *dispersal**** wyłączyłeś, wygramoliłeś się z sza- tniańskiej kombinacji pasów, spado- chronu, *dinghy* i *Mae-Westki*, sta- jesz na chwilę przy skrzydle i pa- trzysz na swojego "Spitfire'a" z podziwem, dumą, wdzięcznością i umiłowaniem.

I kiedy już raz ją pokochałeś, to ta miłość zostanie ci w sercu na zawsze. Mogą być samoloty szyb- sze, łatwiejsze, wygodniejsze, lep- sze, ale "Spitfire" jest i będzie naj- piękniejszy.

"Thunderbolt"? — z silnikiem, jak stodoła! "Mustang"? — ten rozkraczony wielbłąd z garbem na brzuchu! Albo "Typhoon"? — toż to po prostu "Hurricane" w ciąży! Nie, tylko "Spitfire" ze swą dziewiczą linią, ze swą smu- kłością, z harmonią zaakraglen, z poezią proporcji, z muzyką skrzydeł w locie — pozostanie w myśliwskim lataniu niepowtar- zalnym uosobieniem Piękna.

Pokochałeś ją, jako świeżo upie- czony myśliwiec, nie zapomnisz jej, kiedy po operacjach odejdiesz z dywizjonu; będziesz tęsknił, aż kiedyś, kiedy uda ci się do niej powrócić i po rozłace ją odzyskasz — pójdziesz witać się z nią skry- cie, żeby nikt nie widział, jak je- steś wzruszony. Obejmiesz ją ko- chającym spojrzeniem, położysz rękę pieśczołtliwie na gładkim, wdzięcznym skrzydle i szepiesz cicho: "Moja, moja jedyna!"

GUSTAW NIERAD



trumnie, i wkrótce na tymże sa- molocie z najwyższą łatwością ma- cisz powietrze.

Więcej jednak, niż w powietrzu, męczysz się w Torturton na ziemi. Bo tam, uważasz, sztab profeso- rów wyszkolenia na ziemi organi- zuje dla ciebie — uniwersytet la- tania. Lataasz dziennie godzinę, dwie, ale za to wykładów masz cztery, pięć, nie licząc "pozabiuro- wek", nauki własnej, "dobrowol- nej" i za karę. Egzaminy są też, najpierw "połowkowe", a dopiero potem na dyplom. I choćbyś latał, jak Orliński, a "plottingu" nie zdasz — sromotnie z pilotażu wy- rzucen będziesz. /Plotting nie to- bie jest potrzebny, tylko GRUPIE — słowo magiczne, przyczyna wy- starczająca i cel najwyższy/.

Jak to św. Mikołaj zgrabnie kiedyś ujął, życie w Torturton — to:

*Wykłady i egzaminy, Link** — co dzień cztery godziny, Repetycje i poprawki, Morse — na wzrok i na słuchawki, Astrografia i plotting, Nauka własna i drill w dinghy*** A, że wszystko zbyt spokojne, W piątki urządza się wojnę. Potem, co czasu zostanie, Poświęca się na latanie.*

Aż wreszcie, pewnego dnia przed południem, twój kurs zbiera się na ostatnią zbiórkę w Tortur- ton, na rękawicę każdy ma świeżu- sienkie "sztrajpsy" sierżanckie, dowódca przykręca wam tańszego gatunku gapę na wypięte piersi i wygłasza okolicznościowe prze- mówienie, płynnie i pewnym głos- em, bo wygłaszał je już do czter- dziestu trzech poprzednich kur- sów. Dostajesz urlop siedmiodnio- wy, pierwszą pensję sierżanta i wyrwywasz do miejscowości, nad którą, w czasie kursu, wykonywa-

o dwie mile od dowództwa, o trzy mile od lotniska. Umyć się możesz już o pół mili od swego pokoju. A sam pokój mieści się w tekture- wym baraku na stromym pagór- ku: czy mróz, czy błoto — zawsze się parę razy obsuniesz na czwora- kach, zanim osiągniesz szczyt.

Dostajesz rower, który ginie ci następnego dnia. Ktoś *pinched it***** Bierzesz następny, stojący obok i tak, po pewnym czasie, wracasz do swojego. /Tu mi się przy- pomina mój przyjaciel, Zbyszek, instruktor z Torturton, który ro- wer w ogóle nie posiada, ale za- pytany przez nieświadomych: — "Czy możesz mi pożyczyć rower?" — zawsze odpowiada zyczliwie: — "Ależ naturalnie — drugi od wejścia z lewej"/.

Wrednal nie jest całkowicie pol- ską stacją, jak Faknal lub Tortur- ton, ale mamy tu polskich instruk- torów i polskich dowódców. Wszyscy oni przychodzą tu prosto z dywizjonu i najczęściej też do dywizjonu wracają po kilku mie- siącach "odpoczynku". Odpoczy- nek w cudzysłowie, bo z tego, co mówią, wynika, że z odpoczynku w dywizjonie tu przyszli i na od- poczynek w dywizjonie chcą jak najszybciej odejść. Wrednal mę- czy ich bardzo: jazdą na rowerze, brakiem centrów rozrywkowych w okolicy, ograniczonym zapasem alkoholu w messie, a przede wszyst- kim — brakiem latania. Bo in- struktor w O.T.U. nie lata dużo, a kiedy lata, to spływając z obrzy- dzeniem: *dual****** z uczniem na "Mastrze", lub prowadzenie dwóch uczniów w szyku na "Spitfire'ach". Brrrr!

Ty za to lataasz dużo, szybko i wysoko. Po krowiastym

hydrauliczną /operowanie podwo- ziem i klapami/, musisz *cockpit- drill*** zglebić do dna, musisz u- mieć przez radio rozmawiać z czte- rema stacjami, zwłaszcza z tą jed- ną, co zblakanych doprowadza do domu. A podpisałeś *Authorisation Book**** i "Seven Hundred"?**** — O.K., możesz lecieć.

Gramolisz się do maszyny ze spadochronem, *dinghy*, w *Mae- West'ce*,***** przeklinasz piekiel- ny ciężar *dinghy*, nagle *dinghy* od- czepia się od spadochronu i pada w błoto; klnąc straszliwie, umiej- scawiasz najpierw spadochron w siedzeniu, kładziesz nań *dinghy*, na wierzchu siadasz sam i starasz się zaprzeć pasy; pasy spadochronu odczepiają się z pasami uprząży, nie- których nie możesz w ogóle odszu- kać, sięgasz rękoma, gdzie wzrok nie sięga, i kaleczysz palce o z'o- liwe narośle metalowej konstruk- cji, wreszcie, z pomocą mecha- ników, zapinasz wszystkie klamry i zatrzaśki i spocony, zziębnięty i pół-uduszony *Mae-West'ką* i zbyt ciasną uprzążą przystępu- jesz do "czynności po wejściu do kabiny".

Zapuszczasz silnik i dziwisz się: cieszysz, że od razu zaskoczył. Wykołowujesz i patrzysz z przera- żeniem na końce skrzydeł: kołyszą się coraz mocniej, za chwilę chyba przepiesz się którymś na trawę. Albo tak przynajmniej się wydaje.

Dostajesz zielone światło, wko- łowujesz na *runway*,***** otwie- rasz ostrożnie gaz i nagle dozna- jesz dziwnego wrażenia: to piskie bezbronne, maleńka ptaszyna prze- obraża się w potęgę; czujesz zdu- miewającą niewspółmierność po-

* Ona.
** Czynności zasadnicze, związane z obsługą silnika w locie.
*** Książka zadań.
**** Formularz — podpisywany przez pilota przed startem.
***** Kamizelka ratunkowa.
***** Pas startowy.

* Wszystkie nazwy miejscowości w tym felietonie są zmyślone.
** Proste — co?
*** Przydział.
**** Regulamin królewski.

* Nanoszenie na mapę trasy lotu.
** Przyrząd nasładowy wewnętrznej kabiny samolotu, w którym ćwiczy się lot na instrumenty.
*** Ćwiczenia z łódka ratownicza.

* Bez zabawy, bez niczego.
** Dobrze.
*** Szynek.
**** Zwędził go.
***** Lot we dwojkę /z instrukto- rem/.

* Przyśpieszenie ziemskie.
** Mila na godzinę.
*** Punkt rozproszenia /barak pi- lotów na lotnisku/.

W PRZEDNIU OSTATNIEJ
OFENSYWY

Bezprzykładna masakra, kilkanaście tysięcy jeńców dziennie, istna orgia zniszczenia z powietrza — oto raz jeszcze obraz sytuacji na froncie zachodnim. Bitwa w trójkącie Ren-Mozela-Saara dobiega końca. Stała się ona niemalże nowym wydaniem bitwy pod Falaise, co prawda tylko, jeśli chodzi o olbrzymie straty niemieckie; dla Sojuszników była od tamtej znacznie łatwiejsza.

Teraz, gdy jeszcze jedna armia niemiecka ulega zniszczeniu, gdy wojska sojusznicze stoją nad Renem na całej jego długości od granicy szwajcarskiej do Holandii i szybko rozszerzają swoje przedsięwzięcie na wschodnim brzegu, gdy wreszcie lotnictwo sojusznicze zadaje Niemcom miazdzące ciosy i paraliżuje całkowicie transport na tyłach frontu — początek końcowej ofensywy na zachodzie wydaje się sprawą dni. Być może rozpocznie się ona, zanim te słowa ukażą się w druku.

Chwila wydaje się odpowiednia, by nieco obszerniej zastanowić się nad widokami na przyszłość, tym bardziej, że każdy dzień dostarcza nowego, ciekawego materiału dla oceny planów niemieckich i stanowiska społeczeństwa niemieckiego. Jednocześnie coraz więcej jest wskazywań co do tego, na jakie trudności natrafiają Sojusznicy na terenie Rzeszy. Doniesienia korespondentów z terenów okupowanych na zachodzie /wschód, gdzie działają wojska sowieckie, jest zaryglowany na cztery spusty dla bezstronnych obserwatorów /zrzucają sporo światła na to, co czeka Sojuszników w miarę postępów w głąb Niemiec.

Na łamach "Daily Herald" ukazała się w tych dniach korespondencja, omawiająca biernoci społeczeństwa niemieckiego na terenach okupowanych na zachodzie. Autor, podobnie jak inni korespondenci, podkreśla, że obawy przed jakakolwiek partyzantką ze strony Niemców okazały się ponne. Nie ma żadnych prób tego rodzaju, sabotaże nie zdarzają się, Niemcy są pokorni i posuszni. Autor słusznie jednak przestrzega przed wyciąganiem zbyt daleko idących wniosków, podkreślając, że położenie na tych terenach jest zupełnie specjalne z powodu braku mężczyzn w wieku wojskowym. Ta część ludności, która pozostała, to starcy, kobiety i dzieci. Nigdzie na świecie nie jest to element nadający się do akcji partyzanckiej; a już z pewnością nie w Niemczech, gdzie akcja podziemna nie odpowiada u-sposobieniu narodowemu.

Pod tym względem sytuacja jest więc odmienna, niż w krajach, które były okupowane przez Niemców: tam przeważnie duża część młodych mężczyzn pozostała na miejscu i mogła wziąć udział w akcji podziemnej. Toteż słusze wydaje się stwierdzenie, że niebezpieczeństwo stanie się realne, gdy Niemcy zostaną ostatecznie rozgromione i gdy byli członkowie SS, spadochroniarze, i w ogóle cała młodzież zaczyna działać małymi oddziałami. Na nich bowiem Hitler

zawsze może liczyć — choćby go już nie było wśród żyjących.

Niewątpliwie szeregi tych kilku-nastu roczników niemieckich zostały mocno przereźdzone. Rzeź młodzię niemiecką jest bodaj większa, niż sobie świat wyobraża. Niemniej wciąż jeszcze będzie dość tych fanatyków hitlerowskich, by siac niepokój i zamieszanie. Charakterystyczny dla tej fanatycznej zaciętości był świeży fakt ucieczki 80 jeńców niemieckich z obozu w Anglii. Nawet beznadziejne położenie Niemiec i bliska ostateczna klęska, nie wpłynęły na ich umysłowość od lat urabianą przez narodowy socjalizm.

Skoro zaś mowa o umysłowości, to warto jeszcze zwrócić uwagę na podnoszony przez wielu korespondentów fakt, że tereny zajęte okazały się pustynią nie tylko w znaczeniu materialnym — wszystko leży w gruzach od bomb — ale również ideologicznym. Niemcy odrzekają się tam od narodowego socjalizmu, ale nie wyobrażają sobie, by go można było czymś zastąpić. We Włoszech, gdzie wpływ faszyzmu był raczej powierzchowny, natychmiast po wejściu wojsk sojuszniczych zaroilo się od antyfaszystowskich partii politycznych i Włosi oddali się polityce z namietnością. Niemcy tylko czekają na — rozkazy. Umieją słuchać i nic więcej.

ORGANIZACJA BEZŁADU

Kierownictwo Trzeciej Rzeszy z pewnością przygotowuje przyszłą akcję partyzancką na terenach okupowanych. Ale nie jest to jedyny sposób, którym zamierza ono utrudnić życie Sojusznikom.

Nie ulega wątpliwości, że przewódcy niemieccy gotowi są pociągnąć za sobą w otchłań katastrofy nie tylko całe Niemcy, ale także całą Europę. Korespondent "Daily Telegraph" przytoczył następującą opinię, wypowiedianą przez Niemców: "Jeśli jesteśmy skazani na klęskę, to niechże przynajmniej nasi wrogowie znajdą się wobec Europy, która bę-

Przegląd tygodniowy

dzie zniszczona do gruntu, jak nigdy przedtem w historii. Ich zwycięstwo niech będzie daremne, a ich triumf — szyderstwem".

Dłatego Niemcy celowo przedłużają opór, choć wiedzą, że wynikiem będzie jeszcze większe zniszczenie reszty Rzeszy. Dłatego zapewne powodują masowe wędrowniki milionów ludzi po kraju. Chcą w ten sposób w momencie okupacji sojuszniczej stworzyć stan bezładu, z którym Sojusznicy nie będą sobie w stanie dać rady; nie ma przy tym znaczenia to, że jeszcze paręset tysięcy Niemców zginie. Zato, jak spodziewa się Hitler, w tych masach wędrujących z miejsca na miejsce łatwiej będzie się ukryć winowajcom wojennym. Co więcej, Sojusznicy nie potrafią tych milionów wyżywić i dojdzie do rozruchów głodowych. Szerzyć się będą epidemie i Sojusznicy będą się obawiali, że ich żołnierze zarażą się od Niemców. Jednym słowem hasło Hitlera brzmi: im gorzej, tym lepiej.

Zapewne nie bez związku z tym pozostaje kampania propagandowa o okrucieństwach rosyjskich, o której pisaliśmy w ostatnim numerze. Jednym z powodów, dla których okrucieństwom tym nadaje się taki rozgłos, wydaje się, poza chęcią wzmożenia woli walki, również skłonienie milionów Niemców do wędrowni na zachód. Członek amerykańskiej Izby Reprezentantów Gore, który ostatnio bawił w Niemczech z ramienia AMGOT'u przewiduje, że na terenie stosunkowo niewielkiej okupacji amerykańskiej znajdzie się połowa całej ludności Rzeszy, gdyż miliony ludzi uciekają z terenów, które zajmą Rosjanie. Zapewne przewódcy Niemiec liczą, że na tym tle dojdzie do starć między Sojusznikami zachodnimi, a Rosją, która będzie domagała się odesłania Niemców.

SZATAŃSKI PLAN

Z tymi planami pograżenia Europy w zamęt łączy się niewątpliwie

strategia niemiecka. Tak n.p. utrzymanie wszędzie portów na celu utrudnienie zaopatrywania Europy w żywność. Należy się liczyć z tym, że również porty niemieckie będą trzymane, gdy już całe północne Niemcy będą zalane przez wojska sojusznicze. Podobnie, jak w portach atlantyckich czy w Dunkierce, gdzie Niemcy bronią się po dziś dzień, garnizony zamkną się również w Hamburgu, Bremie i t.d.

Plan niemiecki zapewne przewiduje, że gdy na rozległych terenach okupowanych Sojusznicy natrafiać będą na rosnące trudności, to jednocześnie elita narodowo-socjalistyczna bronić się będzie w owej ostatniej redukcji alpejskiej, o której niedawno pisaliśmy na tym miejscu. Ostatnio nadeszły wiadomości wskazujące na nowy szatański szczegół planu niemieckiego. Oto Niemcy przetrzucają na teren przyszłego bastionu bawarsko-austriacko-czeskiego wszystkich jeńców brytyjskich i amerykańskich oraz wybitniejszych więźniów politycznych. Mają oni zamiar traktować ich jako zakładników i pod groźbą zemsty na tych jeńcach uzyskać gwarancję życia dla przewódców Rzeszy.

Trzeba pamiętać, że ci zbrodniarze niemieccy, którzy wiedzą doskonale, jaki los ich czeka, jeśli dostaną się w ręce Sojuszników, nie cofną się przed niczym, byleby ująć zasłużoną kary. Nie mają oni nic do stracenia i użyją wszelkich najbardziej wymyślnych sposobów, byleby tylko ratować swe życie.

Przed wszystkim zaś pragną przeciwną walczyć jak najdłużej, licząc, że w obliczu tych wszystkich trudności Sojusznicy, choć zwycięzcy, zdecydują się na kompromis.

JAK URATOWAĆ EUROPE?

Tak wyglądają plany niemieckie w przedmiocie ostatecznego uderzenia sojuszniczego poprzez Ren. Trzeba stwierdzić, że mają one z sojuszniczego punktu widzenia obok nie-

bezpiecznych, również i dobre strony. Każdy dzień przedłużającego się oporu niemieckiego w obecnych warunkach oznacza może jeszcze jeden rok potrzebny dla odrodzenia się siły Niemiec. Wydaje się, że nawet zniszczenia po wojnie trzydziestoletniej będą niczym w porównaniu z obecnymi; a przecież wówczas potrzebą było Niemcom dwustu lat, aby się odrodzić.

Ale nie można dopuścić do tego, by Niemcy urzeczywistnili szatański plan pociągnięcia całej Europy w przepaść. A jeśli plany te mają być unicestwione, jeśli narody Europy mają uniknąć losu Rzeszy, to cała polityka Sojuszników musi eść zmianą.

Jednym z czynników, na który liczą przewódcy Niemiec jest rozczarowanie ludów europejskich tym, co nazywa się "wyzwoleniem". Te uczucia pragną podsycać i wykorzystywać. Rozczarowanie to ma wywołać różne powody. Na zachodzie Anglosasi nie zdołali zorganizować dostaw żywności, bo zabrakło środków transportu, przede wszystkim statków. Kraje Zachodu godowały i marzyły w ciągu zimy, a teraz głodują nadal. Na wschodzie Europy sytuacja żywnościowa jest również zła, ale schodzi na plan drugi wobec większej jeszcze zmyry braku wolności politycznej. W Polsce i gdzieindziej słowo "oswobodzenie" ma dźwięk fałszywej monety.

Nie jest wykluczone, że w związku z tym Niemcy liczą jeszcze na pewnego rodzaju powszechną wojnę domową w Europie, do której doprowadziłyby akcja komunistów w różnych państwach, zwłaszcza w Europie wschodniej, ale także w takich krajach, jak Włochy czy Grecja. I spodziewają się, że pozwoliłoby im to odegrać jeszcze jakąś rolę.

Jeśli chce się te plany i nadzieje przekreślić, to nie wystarczy za wszelką cenę, nawet za cenę zasad, sztucznie utrzymywać jedności sojuszniczej. Trzeba obecną politykę zastąpić polityką opartą o te właśnie zasady, których wprowadzenie w życie byłoby dla Niemców największym ciosem: zasady demokracji, poszanowania prawa i "wolności od strachu i niedostatku", którą obiecywała Karta Atlantyczna.

Nie można też uratować Europy od grożącego jej śmiertelnego niebezpieczeństwa, nie wciągając jej do współpracy. Dzisiejsza polityka rozstrzygnięcia losów Europy bez jej udziału, tak jak to stało się na konferencji krymskiej, do niczego dobrego doprowadzić nie może, nawet jeżeliby postanowienia "Wielkiej Trójki" były słusne i sprawiedliwe, do czego im jest bardzo daleko.

Wchodzimy w ostatnią fazę wojny, może najtrudniejszą, pomimo iż zwycięstwo jest nie tylko pewne, ale bodaj i bliższe. Tylko wówczas zwycięstwo to będzie rzeczywiste, a ofiarą milionów Europejczyków i Amerykanów nie pójdą na marne, jeśli polityka wielkich mocarstw przestanie być zasad, których bezkarnie porzucić nie można.

Londyn, 22 marca 1945.

ALEKSANDER BORAY

Z tygodnia na tydzień

19 marca: Wojska amerykańskie gen. Patton'a po zajęciu Bad Kreuznach znajdują się o 12 mil na pd. zach. od Moguncji.

—Patrole brytyjskie dotarły do dolnego Renu w rejonie Rodwijk.

20 marca: Prezydent R.P. na wniosek Prezesa Rady Ministrów rozwiązał Radę Narodową.

—3-a armia amerykańska wkroczyła do Moguncji, zajęła Wormalcję i ważny węzeł komunikacyjny Kaiserslautern.

—7-a armia amerykańska zajęła Saarbrücken i Zweibrücken, ostatecznie uroczone punkty na linii Siegfrieda. Kolumny pancerne 7-ej

armii połączyły się z oddziałami piechoty 3-ej armii.

—Wojska sowieckie zajęły Brunnsberg na pd. zach. od Królewcą oraz Altdamm, silnie ufortyfikowane miasto o 4 mile od Szczecina.

—Wojska indyjskie zajęły fort Dufferin i oswobodziły Mandalay.

—Rosja ogłosiła o wypowiedzeniu Turcji traktatu nieagresji, zawartego pomiędzy tymi dwoma państwami 17 grudnia 1925 r.

—Francja, Holandia, Belgia i Luksemburg podpisały umowę gospodarczą.

21 marca: Oddziały pancerne 3-ej armii amerykańskiej wkroczyły

do Ludwighafen i osiągnęły Ren w tym rejonie.

—Wojska sowieckie zajęły szereg miejscowości przecinając połączenia Gdyni z Gdańskiem.

22 marca: Marszałek Kesselring został mianowany głównodowodzącym wojsk niemieckich na froncie zachodnim na miejsce von Rundstedta.

—Lotnictwo Sprzymierzonych wykonało ponad 7 tysięcy lotów na zagłębie Ruhry.

—Armie Koniewa połączyły się w Prudniku i oddziały armie niemieckiej w tym rejonie.

GDANSK

1 września 1939 roku około godziny 4.30, Hitler rozpoczął drugą wojnę światową atakiem lotniczym na koszary lotnictwa morskiego w Pucku oraz bombardowaniem Westerplatte przez pancernik "Schleswig-Holstein".

Gdańsk już na długi czas przed wybuchem wojny — był zamieniony na arsenał i bazę hitlerowską. Gdańska "Heimwehr" — po wielu prowokacjach i awanturach — uderzyła w pierwszym dniu wojny na Westerplatte i Orłowo na razie z ujemnym dla siebie skutkiem. W końcu jednak szalona przewaga niemiecka uporowała się zarówno z załogą Westerplatte, jak i z obrońcami poczty polskiej w Gdańsku, którzy zginęli co do jednego.

17 września samoloty niemieckie rozrzuciły nad Helem ulotki o wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski i beznadziejności dalszej walki. Ale szczerze siły kontradmirala Unruga jeszcze pełne dwa tygodnie broniły ostatniego skrawka wybrzeża. Dopiero brak amunicji zmusił działa polskie do milczenia. Grzmiały one już zresztą wówczas na innych wodach, a suwerenność bandery narodowej zapewniały pływające i walczące po dziś dzień okręty wojenne Rzeczypospolitej.

Teraz, po 5 1/2 latach wojny Hitler doczekał się gorzkich owoców swej polityki. Pod Gdańskiem stoją zwycięskie wojska rosyjskie. W chwili, gdy piszemy te słowa — dnia twierdzy i miasta wydają się policzone.

Gdańsk nie ma szczęścia do Rosjan. Zdobyli go raz w r. 1734, kiedy to Leszczyński musiał z Polski uciekać. Potem w okresie 1813 — 14 bronił go bohaterski Rapp na czele wojsk francuskich, neapolitańskich i polskich — bronił rok prawie przed potęgą Aleksandra I. Teraz, po raz trzeci w dziejach, Gdańsk słyszy działa rosyjskie — a właściwie po raz czwarty, bo w czasie wojny siedmioletniej słyszał je również, choć zdobyć się nie dał.

Okręty i samoloty sowieckie blokują Gdańsk, Gdynię, Królewiec i Libawę, topiąc co się da na niemieckich liniach komunikacyjnych. Lotnictwo brytyjskie bombarduje Swinioujście i Rugie, aby ułatwić Rosjanom zadanie. Ale resztki floty

niemieckiej wciąż jeszcze panują na Baltyku.

Zdobyte przez Rosjan Kołobrzegę /od strony łądu/ jest tylko drobnym epizodem. Ciężar gatunkowy leży dziś pod Szczecinem. W obronie tego portu okręty niemieckie współdziałały zawięzcie. A załogi Gdańska, Gdyni, Królewcą i Libawy starają się zatrzymać na sobie jak najwięcej sił sowieckich. Daremnie...

Gdyby Hitler w roku 1939 wiedział jaki obrót przybiorą "sprawy gdańskie" w roku 1945 — na pewno nie rozpoczynałby wojny...

MAUR ZROBIŁ SWOJE

"Der Mohr hat das seinige getan" — Maur /nie jak błędnie się mówi "murzyn"/ zrobił swoje. Tym razem jednak "Mohr" jest nazwiskiem kapitana marynarki niemieckiej, który na czele kilku lekkich jednostek dokonał z wysp La Manche'u wypadu na francuski port Granville.

Następny /15-ty/ numer "Polski Walczącej" ukaże się w normalnej objętości dnia 12-go kwietnia z datą 14-go kwietnia.

nym/, zatopili 5 statków sprzymierzonych i uprowadzili prawdopodobnie do Jersey lub Guernsey szósty, załadowany różnymi zasobami. Załoga niemiecka na wyspach otrzymała cenny zasilek.

W zawiłym archipelagu raf, skał, wysepki Zatoki St. Malo taki wypad był oczywiście możliwy pod osłoną nocy. Nie świadczy on jednak pięknie o czujności obrony wybrzeża w Granville.

INNY WYPAD

Natomiast doskonale udał się wypad czterech kontrtorpedowców brytyjskich na wysepkę norweską Soroy w Galten-fjordzie. Uwolniono 525 Norwegów, zniszczono szereg urządzeń niemieckich. Tym razem niemiecka obrona morską i nadbrzeżną zawiodły całkowicie. A przecież podobno około 300 podwodnych okrętów niemieckich bazuje się na tych wodach.

NA PACYFIKU

Strategia admirała Nimitza i generała MacArthura jest najwymow-

niejszym przykładem idealnej współpracy między marynarką a wojskiem, przy czym zarówno pierwsza, jak i druga posiadają własne lotnictwo, współpracujące tak z nimi, jak i między sobą /lotnictwo marynarki z lotnictwem wojska/.

Ciekawe, że amerykańskie siły lądowe są stosunkowo nikłe — nie przekraczają one na olbrzymich połaciach Pacyfiku dwudziestu czterech dywizji. Japończycy są kilkakrotnie silniejsi, nie mają jednak nigdzie taktycznej przewagi, bo wojska ich rozproszone są na wyspach. Nie posiadają panowania na morzu, Japończycy nie są w stanie koncentrować sił w zagrożonych punktach.

Amerykani — przeciwnie. Wybierają sobie jeden punkt, odcinają go przy pomocy floty i lotnictwa, potem lądują, zachowując lokalną przewagę liczebną i materiałną. Nic ich nie obchodzi, że na tyłach znajdują się jeszcze inne siły japońskie, rozsiane w przestrzeni. Siły te, pozbawione swobody ruchu z powodu braku współpracy z własną mary-

Wojna na morzu

Nowość!
PODSTAWOWE ZAGADNIENIA
POLSKI WSPÓŁCZESNEJ
w programie i pracach
Wojciecha Korfańskiego
Do nabycia w księgarniach
i kioskach polskich
Cena 5/-

Polscy Spadochroniarze, pozostający w szpitalach, domach wycieczkowych, domach inwalidów i t.d., zechcą niezwłocznie podać swe aktualne adresy i bliższe dane o sobie pod adresem: Welfare Officer Polish Forces, P/76.

ORBIS (London) CO.

dawniej M. I. KOLIN (Publishers) Ltd.

KSIEGARNIE POLSKIE

w LONDYNIE: 9, NEW OXFORD STREET, W.C.1.

Tel.: HOL 0868

w Edynburgu: 31a, CASTLE STREET.

Tel.: 24705

posiadają na składzie wszelkie polskie nowości wydawnicze, książki angielskie dotyczące zagadnień polskich, nuty, podręczniki szkolne oraz dzienniki i czasopisma polskie.

Łatwy podręcznik angielskiego

w 20-tu lekcjach
ukazał się już w sprzedaży.

Cena 2/-

Jest to dobry samouczek, dający możliwości szybkiego opanowania języka. Słówka podane z wymową. Łatwe ćwiczenia, możliwe do stosowania w codziennej konwersacji. Nabywać można wszędzie lub przez pocztę, wysyłając Postal Order na 2/6 do Administracji "CO SŁY-CHAC," 40, Bruntsfield Place, Edynburgh.

POLSKA MARYNARKA
WOJENNA

Prasa brytyjska podała dopiero teraz wiadomość o ciężkim uszkodzeniu pancernika "Warspite" w bitwie pod Salerno /wrzesień 1943/. Pancernik trafiony został dwiema bombami szubowcowymi i nie mógł płynąć o własnych siłach. Trzeba było czterech holowników, by go zaciągnąć na Malte, a później do Gibraltar.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć że w bitwie pod Salerno uczestniczyły kontrtorpedowce polskie: "Piorun", "Krakowiak" i "Ślązak", przy czym ten ostatni był okrętem dowodzącym kontrtorpedowcami osłaniającymi lotniskowce i krążowniki kontradmirala Vian.

Gdy "Warspite" został trafiony O.R.P. "Ślązak" osłaniał go swym ogniem, odpierając wraz z innymi okrętami naloł nieprzyjaciela. W następstwie O.R.P. "Ślązak" był jednym z okrętów eskortującym pancernik na Malte.

Londyn, 23 marca 1945.

JULIAN GINSBERT



TOWARZYSZ BRONI



Rząd Rzeczypospolitej

Władzą wykonawczą Rzeczypospolitej Polskiej jest Rząd, który pod przewodnictwem premiera /obecnie p. Tomasza Arciszewskiego/ kieruje wszystkimi sprawami polityki państwowej Polski. W skład Rządu wchodzi poszczególni resortowi ministrowie, tworzący jako całość Radę, albo Gabinet Ministrów.

W toku tej wojny, działając po klasę wrześnie poza Krajem, Rząd wykonuje reprezentację oraz obronę praw i interesów Polski, istniejącej nieprzerwanie, pomimo zajęcia obszaru państwowego przez okupantów, jak również organizuje Siły Zbrojne poza Krajem do walki o wolność, oraz przygotowuje kadry fachowe /jak na przykład: administrację, nauczycielstwo, lekarzy, inżynierów, prawników i t.d./ do prac w Polsce powojennej.

Rada Ministrów składa się z szeregu ministrów resortowych. Nas, żołnierzy, najbardziej interesuje Ministerstwo Obrony Narodowej, zajmujące się — razem ze Sztabem Naczelnego Wodza — sprawami Polskich Sił Zbrojnych to znaczy: wojska, marynarki wojennej i lotnictwa.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych utrzymuje łączność z Krajem, oraz rejestruje niemieckich zbrodniarzy wojennych. Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświe-

cenia Publicznego zajmuje się zagadnieniami szkolnymi i wyznaczeniami. Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej między innymi opiekuje się inwalidami wojennymi, oraz uchodźstwem polskim.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych przez swe placówki dyplomatyczne reprezentuje państwo na zewnątrz, a Ministerstwo Prac Kongresowych przygotowuje imieniem Polski materiały i wnioski na konferencję pokojową. Ministerstwo Przemysłu, Handlu i Żeglugi — opracowuje zagadnienia odbudowy życia gospodarczego Kraju, oraz powojennego zaopatrzenia ludności, wyniszczonej wojną. Z działalnością tego Ministerstwa wiąże się Ministerstwo Skarbu, kierujące sprawami finansowymi. Ministerstwo Odbudowy Administracji przygotowuje kadry przyszłej administracji, ze szczególnym uwzględnieniem objęcia zarządu nad tymi terenami, które powrócą do Ojczyzny po wielowiekowym ich okupowaniu przez Rzeszę Niemiecką.

Pozostają jeszcze dwa: Ministerstwo Sprawiedliwości, przygotowujące ustrój prawny, opracowujące projekty ustaw i Ministerstwo Informacji i Dokumentacji, którego pierwszoplanowym zadaniem jest informowanie swoich i obcych o sprawach polskich, a w szczególności o życiu Kraju pod okupacją.

O zawsze wiernym Polsce mieście Lwowie



Kiedy wymawiamy nazwę: Ziemia Lwowska, to oczom naszym nasuwa się ów zrab węgielny Rzeczypospolitej Polskiej — Lwów. Miasto, które zostało odznaczone krzyżem bojowym "Virtuti Militari", miasto będące samo w sobie kartą historyczną Polski, legitymacją Jej istnienia. Czy wiecie, że Lwów ma w herbie łaciński napis "Semper fidelis", co znaczy — zawsze wierny? Albowiem, jak daleko sięgają dzieje, zawsze Lwów był Polsce wierny. I nigdy też — Polska wiernego Lwowa nie opuści.

Czy wiecie też, że jedno z miast na południu Anglii, Exeter, ma również w herbie napis "Semper fidelis"? Dziwnym, zaiste trafem,

koło tego właśnie miasta angielskiego stacjonował swego czasu Dywizjon Lwowski polskiego lotnictwa. I dzięki temu Dywizjonowi, zawiązała się nieprzyjaźń pomiędzy miastem brytyjskim, a dalekim, miastem miastem Polski.

Wiernie Polsce miasto — zgromadziło w sobie mnóstwo cennych pamiątek historycznych. Gromadziło je pokoleniami, świadczącymi swoim dorobkiem o drogiej sercu każdego Polaka przeszłości Lwowa. Kopiec Unii Lubelskiej, Panorama Raclawicka, Cmentarz Obrońców Lwowa, kościoły i pomniki... nie wiemy, co z nich ocalało podczas wojny!

Jedyną na świecie miasto, szcycące się trzema katolickimi metropoliami obrządków łacińskiego, greckiego i ormiańskiego. Jedyną na świecie miasto, położone na wododziale. Jedne wody Lwowa przez Bug ściekają ku Morzu Bałtyckiemu, inne, przez Dniestr — ku Czarnemu. Tu jest dziejowa strażnica Polski.

Nie ma Polaka, któryby nie miał takiego, czy innego związku z Lwowem. Nie ma też Polaka, któryby potrafił widzieć Polskę bez Lwowa.

Dzieje Lwowa obfitują w okresy burzliwe. Wiele, bardzo wiele razy podczas minionych stuleci widział Lwów nieprzyjaciela. Wro-

gowie nadeciągali, byli, przechodzili, ginęli. I znowu słowa polskie oprzemieniały niezapomniane mury wiernego miasta.

Ciężko doświadczony serce polskie musi wierzyć, musi mieć tę pewność, że tak jak tykroć przedtem, gdy odpląną fale potopu wojennego, Lwów, kamień węgielny Rzeczypospolitej, znowu będzie oświetlał słowa polskiej wolności.



Herbowy lew Lwowa

Odrodzenie Polskich Sił Zbrojnych we Francji



Obrazek sprzed pięciu lat

Wyrazem niezwyklej żywotności, wyrazem niezłomnego ducha bojowego Polskich Sił Zbrojnych jest między innymi to, iż pomimo naszej klęski jesienią 1939 roku, liczne szwadrony pułkowe — znaki bojowe — zostały uniesione z Kraju, przeszły przez wiele zielonych granic i znalazły się we Francji. Dzisiaj te najcenniejsze relikwie polskiego wysiłku zbrojnego przechowywane są na chwilę powrotu do Kraju, w oddzielnym Muzeum Wojska w Szkocji.

Jedyną wielką jednostką wojska polskiego, jaka przedarła się przez pierścienie wroga z Kraju, przez granice obce i miejsca internowania, stała się, ponownie odrodzona

we Francji, 10 Brygada Kawalerii Pancernej, zwana Krakowską, walcząca pod dowództwem gen. Stanisława Maczka. Część tej wielkiej jednostki, zaopatrzona we francuski sprzęt pancerny była się dzielnie o wolność Polski latem 1940 roku na ziemi francuskiej. Niemcy po raz drugi w czasie tej samej wojny nabrali przed nią respektu, zwąc ją "Czarną Brygadą". Dla upamiętnienia tego faktu gen. Sikorski jako Naczelny Wódz nadał żołnierzom Brygady prawo noszenia czarnego lewego naramiennika.

Inną wielką jednostką, zrodzoną na ziemi francuskiej, była Brygada Strzelców Podhalańskich, która w maju 1940 roku, pod dowód-

stwem gen. Szyszko-Bohusza, walczyła z Niemcami w Norwegii. Dzięki jej wartościom bojowym — zdobyto Narwik. Było to pierwsze sojusznicze zwycięstwo nad Niemcami po zakończeniu kampanii w Polsce.

Niemniej chlubnie zapisały się w toku tej wojny obie walczące na ziemi francuskiej latem 1940 roku: 1 Dywizja Grenadierów pod dowództwem gen. Ducha, oraz 2 Dywizja Strzelców Pieszych pod dowództwem gen. Prugar-Ketlinga.

Na polach Szampanii i Lotaryngii obie nowopowstałe dywizje polskie spisały się wspaniale. A jak lojalnie i po bohatersku walczyły, świadczy jeden fakt. Marszałek Pétain w imieniu Francji zwrócił się do Hitlera o rozejm dnia 17 czerwca 1940 roku, zaś nasza 1 Dywizja Grenadierów walczyła do 21 czerwca, o cztery dni dłużej, osłaniając odwrót Francuzów.

1 Dywizja Grenadierów, po wyczerpaniu możliwości walki została rozwiązana, a jej żołnierze następnie przedzierali się wszelkimi możliwymi drogami, by ponownie znaleźć się we własnych szeregach.

2 Dywizja Strzelców Pieszych, po załamaniu się Francji, znajdując się w pobliżu szwajcarskiej granicy — była zmuszona dać się internować przez Szwajcarów. W Szwajcarii dotąd przebywa wielu żołnierzy tej Dywizji.

Niezależnie od tych wielkich jednostek — przy boku dywizji francuskich były się walecznie, do ostatka wykonując powierzone zadania — samodzielne kompanie przeciwpancerne. Było ich bez mała dwa dziesiątki.

Z miejsc postoju

Na rozlicznych miejscach postoju odbyły się ostatnimi czasy akty zaprzysiężenia żołnierzy. Dnie przysięgi stały się dużym zbiorowym przeżyciem. Powagę tych chwil nie omieszkała podkreślić w szeregu wypadków lokalna prasa szkocka, przede wszystkim stwierdzając fakt odbierania przysięgi od żołnierzy zarówno przez księży kapłanów katolickich, jak i ewangelickich, oraz prawosław-

nych. Prasa szkocka zaakcentowała przy tym, że jest to wyraz naszego równouprawnienia i tolerancji religijnej.

Rota przysięgi żołnierskiej, składanej przez nowych kolegów, zawiera sakramentalne słowa:

"Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu, być wiernym Ojczyźnie mej, sztandarów wojskowych nigdy nie odstąpić, stać na

straży Konstytucji i honoru żołnierza polskiego, prawu i Prezydentowi Rzeczypospolitej być uległym, rozkazy dowódców i przelozonych wiernie wykonywać, tajemnic wojskowych strzec, za sprawę Ojczyzny mej walczyć do ostatniego tchu w piersiach, i wogóle tak postępować, abym mógł żyć i umierać jak prawy żołnier polski. Tak mi dopomóż Bóg i Święta Syna Jego Męka. Amen!"

Ucz się po angielsku!



Hands up or I fire!
/rysunek z książki
"English for the Allies"/

Nasze miejsca postoju znajdują się od dawna na terenie Szkocji; ludność szkocka posługuje się językiem angielskim. Jest to wynik wewnętrznego zjednoczenia narodowego Wielkiej Brytanii, pomimo, iż nie wszystkie części ludności tego kraju są pochodzenia rdzennie angielskiego.

Szkocja dopiero na początku XVIII-ego wieku, po licznych i krwawych wojnach, zawarła unie /związek państwowy/ z Anglią. Książki, gazety, słowo w życiu publicznym większych skupisk Szkocji, jest takie same, co w Anglii. Niemniej, ludność w poszczególnych częściach kraju mówi językiem miejscowym /dialektem/, który wykazuje pewne różnice.

Niewątpliwie różnice te sprzyjają, zwłaszcza, kiedy zastawicie odmiennosci wymowy Waszych nauczycieli z wymową okolicznej ludności. Niech to jednak Was od nauki języka

angielskiego nie odstręcza, bo całkiem niezależnie od tych drobnych odmiennosci — miliony ludzi ze wszystkich zamieszkałych pięciu części świata, mówią właśnie tym językiem. Po angielsku.

W programie zajęć macie również i lekcje języka angielskiego. Powinniście się do nich solidnie przykładać i traktować je jak najpoważniej.

Być może, łatwo Wam niewprawnie dogadać się ze szkockim znajomym. Powinniście jednak zwracać uwagę na poprawność wysłowienia, na dobór wyrazów, na umiejętność i właściwe stosowanie form gramatycznych.

Więc też przykładajcie się do lekcji języka angielskiego, i uczcie się, uczcie. Czytajcie, piszcie. Zapamiętujcie zwroty i słowa. Bo kiedy miną lata wojny, gdy po wojnie tułaczki i żołnierze znajdziemy się nareszcie pośród swoich, we własnym domu, ci, którzy z nas przyniosą do Ojczyzny oprócz doświadczeń życiowych i wojennych, jeszcze znajomość języka angielskiego — przyniosą dodatkowo bardzo cenny podarunek dla narodu polskiego.

Bo staną się łącznikami z ludźmi, którzy po angielsku mówią od urodzenia. Którzy zamieszkiwują nie tylko Wielką Brytanię, ale i Stany Zjednoczone, Kanadę, Australię, i Nową Zelandię. Są też i w Afryce i w Azji.

Dzielny Polak

Sierżant Aleksander Drabik — Amerykanin polskiego pochodzenia — pochodzący z miejscowości Holland w stanie Ohio jest żołnierzem amerykańskim, który zdobył sobie w ostatnich dniach największą sławę. Stał on jako pierwszy żołnierz amerykański na prawym brzegu Renu, zdobywając most Ludendorffa pod Remagen. Most ten określany jest jako "najcenniejszy na świecie", gdyż zdobycie jego może w wysokim stopniu wpłynąć na losy obecnej wojny.

Gdy jeden z plutonów batalionu Drabika nacierających na most został ostrzelany z karabinów maszynowych i zatrzymany, wówczas Drabik, na czele 10-ciu żołnierzy pędem przebiegł most, minął dwa niemieckie karabiny maszynowe, broniące wejścia i strzelał cały czas przed siebie w otwór tunelu po drugiej stronie mostu. Osiągnął wschodni brzeg Renu, na-

tychmiast okopał się ze swym oddziałkiem i zabezpieczył przejście dalszym oddziałom swej 9-ej Dywizji Pancernej.


Aleksander Drabik po polsku mówi zupełnie dobrze, choć nigdy nie chodził do szkoły polskiej. Języka polskiego nauczyła go matka. Oboje rodzice Drabika urodzili się w Polsce i pochodzą z Małopolski Zachodniej.

Przypomnieć tu należy, że pierwsza armia amerykańska pod dowództwem generała Hodgesa, która utworzyła pierwszy przyczółek na wschodnim brzegu Renu, jest tą armią, która przyjęła na siebie główne uderzenie kontr ofensywy Rundstedta w Ardenach w grudniu ub. roku. Przez dziwny również zbieg okoliczności przekroczenie Renu przez Sprzymierzonych nastąpiło w 9-tą rocznicę /7-go marca 1936/ wkroczenia Niemców do zdemilitaryzowanej Nadrenii.

W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy "Polski Walczącej", należy odciąć tę kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. "Towarzysz Broni" winien docierać do wszystkich.

W POGONI ZA JAJKAMI!
 —Gdzie pan spędza święta?
 —U znajomych Szkotów.
 —To katolicy?
 —Nie, farmerzy, ale mają dużo kur...

OSTATNIA NADZIEJA
 —Na co Hitler jeszcze czeka?
 —Na pomoc!
 —Skąd?
 —Chyba z U.N.R.R.Y. ...

ŚWIĘTA W I-EJ DWIZJI


Czołg do wszystkiego ...
NIE PCHAJ PALCA! ...
 —Czy pan słyszał, że Hausman z "Lwowskiej Fali", ten harmonista, ma wzbroniony wstęp do kina?
 —Dlaczego?
 —Przez nieuwagę skaleczył sobie palec i "Fala" musiała odwołać wszystkie przedstawienia ...

TEŻ PRZYSZEDŁ ...
 —Pan wie, że wynaleziono środek na V.2! ...
 —Jaki?
 —Środek Londynu ...

HISTORIA POWTARZA SIĘ W SAN FRANCISCO


A gdzie reprezentant Polski?
 Turek: — Posel Lechistanu jeszcze nie przybył ...

KORZYŚĆ Z WOJNY
 Pan Zabłocki w Londynie podobno się ciska, że jego się w przysłówiu używa nazwiska. Więc zmienmy to przysłowie, niech żyje spokojnie! Więc mówmy lepiej: **WYSZEDŁ JAK POLAK NA WOJNIE.**

Or-Si



WERINAJSEK

... SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...



CHCĄ WALCZYĆ ...
 Korespondenci donoszą, że na terenie Holandii powstało już kilkadziesiąt małżeństw polsko-holenderskich. Zarząd miasta Bredy miał nawet ofiarować setnemu Polakowi, zaślubiającemu Holenderkę czteropiętrową kamienicę i 10.000 guldów ... W związku z tym kilku oficerów w stanie spoczynku w Szkocji zgłosiło się "na ochotnika" do 1 Dywizji Pancerniej ...



WYJAŚNIŁ
 Mały Staś zapytuje ojca:
 —Tatusiu, co to jest demokracja?
 —Jak podrośniesz Stasiu, to zrozumiesz!
 —Kiedy ja chcę teraz wiedzieć!
 —To ci wytłumaczę. Otóż demokracja, to jest taka reklama, którą puszczają w gazetach, kinach, w radio ...

W SZKOLE PŁATNIKÓW
 —Słuchajcie, Grünberg, jeżeli marszałek Koniew posuwa się 20 mil na dobie, a Montgomery 2 mile dziennie, to w jakim czasie i w jakim miejscu się spotkają?
 —Nigdy!
 —Dlaczego?! Nie umiecie liczyć?
 —Ja już sobie w głowie obliczyłem. Nim się spotkają, to już dawno będzie po wojnie ...

Or-Si



W SZÓSTYM ROKU WOJNY ...
ZAZDROŚĆ PRZEDSWIATECZNA



—Pani widziała ile ma jaj?
 —Owa! chodzi ta lafirynda na "blackmarket" więc ma! ...



W HOLANDII
ARESZT GARNIZONOWY
 —Za co on siedzi?
 —Za współpracę z Niemcami — nie chciał znosić jaj na święta ...

Tekst i rysunki: TONY

ROZMOWA W HOTELU
 W gronie Szkotek toczy się dyskusja na temat temperamentu Polaków.

—Ja się boję wpuścić Polaków do domu. Słyszałem, że po trzech dniach już flirtują! ...
 —Nie podobnego — odzywa się sześćdziesięcioletnia lady — u mnie mieszkał przez miesiąc młody podchorąży i bardzo poprawnie się zachowywał ...



WIOSENNY BOTANIK
 —Panie szefie — zwraca się do wódca do jednego z podoficerów w "Rubensie" — niech się pan ocknie, chodzi pan jak otumaniony ...
 —To wszystkiemu winna ta miłość botaniczna, panie majorze ...

NIE KIJE GO TO PAŁKA! ...
 Ogłoszenie w prasie: "W okresie Wielkiego Postu odbywać się będzie w każdą niedzielę w Klubie X ... od 16 — 20-ej, zamiast "koncertu muzyki tanecznej" — "koncert muzyki salonowej" ...

WSRÓD NASZYCH PANCERNIAKÓW W HOLANDII
 —Idę na kurs! ...
 —Po ile? ...

ROZMOWA Z ANGLIKIEM
 Rzekłem raz do Anglika: "To rzecz oczywista, że w waszym rządzie winien zasiąść komunista". Lecz Anglik się oburzył: "Nigdy! Żadną siłą!" A więc: **NIE CZYŃ DRUGIEMU, CO TOBIE NIE MIŁO.**

Or-Si

PRZED ŚWIĘTAMI ...
 Westchnienie wyeliminowanego polityka w Londynie:
 —... żeby mnie tak obrzucili jajami ...

POCIESZENIE
 Francuz do Polaka:
 —Nie martwie się, że nie macie krzesła w San Francisco, jeszcze wam podstawiają stołki ...



PRZED ŚWIĘTAMI NA FRONCIE
 —Feluś, jutro przeczytamy komunikat wojenny: "drobne utarczki patroli. W ręce nasze wpadł jeden z ważnych obiektów niemieckich" ...

TRAFNE OKREŚLENIE
 Jednego z wybitnych Szkotów zapytuje Polak:
 —Proszę pana, jak pan sądzi, kiedy wojna się skończy?
 —Trudno mi na to odpowiedzieć, w każdym razie wtedy, kiedy nie będzie się już opłacała ...

W ZWIĄZKU Z "PÓŁ-GŁOSEM" DLA POLSKI W SAN FRANCISCO



.. Polska może przemawiać tylko pół-głosem proszę!!

Or-Si

Na pomoc Warszawie: £3,103

NA PACZKI OD SERCA
 Por. J. H. z S. za miesiąc: styczeń, luty i marzec na paczki dla jeńców £2 sh. 8.

O. Witort zamiast rozsyłania powinszowań z powodu awansów składa £1 na pomoc jeńcom z Armii Krajowej.

NA WDOWY I SIEROТЫ PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH B. 14-EJ WIELKPL. DYW.
 Proszę o przyjęcie sh. 5 w P.O. na Fundusz wdów i sierót po poległych żołnierzach 14-ej Wlkp. Dyw. Piech.
 Krystyna S.

IV Kompania Ośrodka Zapasowego 1 Dywizji Pancerniej złożyła na Fundusz dla pomocy ludności Warszawy kwotę £44 /czterdzieści cztery funty/.

Z okazji imienin Dowódcy Komp. szeregowi 2 Komp. Przejściowej K.U. Nr. 1 Sands House, składają na sieroty po poległych w Kraju £1 sh. 1 /słownie: funtów jeden, szylingów jeden/.

Z okazji imienin męża, zamiast prezentu dla niego, załączam p.o. na £1 na fundusz pomocy Warszawie.

W rocznicę śmierci Ojca składam £1 na "pomoc dla Warszawy".
 K.W.

W dniu imienin Matki pozostałej w Kraju, przekazuję £1 na "pomoc dla Warszawy".
 L.B.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £48.1.0 /słownie: czterdzieści osiem funtów, jeden szyling/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,103.14.7 /słownie: trzy tysiące sto trzy funty, czternaście szylingów i siedem pensów/.

DLA POLAKÓW W ROSJI
 Przesyłam sh. 10 na pomoc Polakom w Rosji.
 Strumiński

DLA RANNYCH ŻOŁNIERZY
 W załączeniu przesyłam Postal Order'y na łączną sumę £2 sh. 4 /dwa funty i cztery szylingi/.

Kwotę tę złożyli angielscy i polscy sanitariusze Izby Chorych "Grove Quarters" na P.C.K. z przeznaczeniem na pomoc dla rannych polskich żołnierzy.
 Cz. P. ppor.

DLA WOJSKOWYCH WARUNKI ULGOWE
 Pokoje z łazienką i całodziennym utrzymaniem. Wyborne domowe jedzenie. Wynajmuje się również na week-end.
 28 Store Street, Flat 3, Tottenham Court Rd., W.C.1. Tel. MUS. 9285. 322

MONOMARK SERVICE
 PERMANENT LONDON ADDRESS
 LETTERS REDIRECTED AT ONCE TO ENGLISH OR OVERSEAS ADDRESSES
 5/- p.a. Royal Patronage
 Write to:
 MONOMARK BM/MONO 51, London, W.C.1

SPIS RZECZY:
 Andrzej Pomian: Prawda. — Jerzy Faczyński: Zmartwychwstanie /linoryt/. — Marek Świącicki: Korpus Polski we Włoszech. — Sir Patrick Dollan: Od szkockiego przyjaciela. — Jerzy Faczyński: Pieśń wielkanocna. — Polska pieśń wojenna: Legiony Dąbrowskiego. — Powstanie Warszawskie /artykuły z "Biuletynu Informacyjnego". — Stefan: Wychodzę z Warszawy. — Z wielkich i tragicznych dni Warszawy /reportaż fotograficzny/. — Bolestaw Pomian: Ocean — pustynia — dżungla. Cz. V.: Dżungla /zdobiła Janina Konarska/. — Leopold Milanowski: Postój w Ostendzie. — Gustaw Nierad: W kuchni myśliwskiej. — Aleksander Boray: Przegląd tygodniowy. — Z tygodnia na tydzień. — Julian Ginsbert: Wojna na morzu. — "Towarzysz Broni" /Rząd Rzeczypospolitej. O zawsze wiernym Polsce mieście Lwowie. Odrodzenie Polskich Sił Zbrojnych we Francji. Ucz się angielskiego. Dzielný Polak. Z miejsc postojów/. — Tony: Werinajsek.

ORBIS (London) Co.
 dawniej M. I. KOLIN (Publishers) Ltd.
KSIĘGARNIE POLSKIE
 w LONDYNIE: 9, NEW OXFORD STREET, W.C.1. Tel.: HOL 0868
 w EDYNBURGU: 31a, CASTLE STREET. Tel.: 24705

polecają:

Poland's Progress /1919-1939/	10/6	Konrad Wallenrod, A. Mickiewicz	3/6
Statistical Atlas of Poland	15/0	Pisma Wybrane, J. Piłsudski	18/0
The Cambridge History of Poland	30/0	Wiersze o Warszawie	7/6
A History of Poland, O Halecki	17/6	Jan III Sobieski, O. Laskowski	8/6
Pan Tadeusz /tłumacz G. B. Noyes/	3/0	Droga wiodła przez Narwik, K. Pruszyński	8/6
Peasants, W. Reymont, 4 t. po	12/6	Dywizjon 303, A. Fiedler	6/0
Polish Antology, T. M. Filip	12/6	Anglia Wyspa Nieznana, Z. Grabowski	7/6
Russian Year, K. Pruszyński	12/6	Naród w Parlamencie, M. Szerer	7/6
The Polish Tradition, P. Super	7/6	Marchewka, A. M. Hemar	7/6
Happy Days in Poland, 2/6	2/6	Bagnet na bron, W. Broniewski	2/6
Stones for the Rampart, J. Górecki	3/6	Polska w liczbach	3/6
Słowniki: Angielsko-Polski, Polsko-Angielski, J. Stanisławski	15/0		
	6/6		

Wydawnictwa albumowe:
 Żołnierz Polski w Norwegii, Lewitt — Him 25/0
 Polskie Siły Zbrojne w Ciągu Wieków, W. Pacewicz 30/0
 Poles in Uniforms, A. Żyw 12/6
 Halka — Polish National Opera 12/0

oraz:
 wszelkie polskie nowości wydawnicze, książki angielskie dotyczące zagadnień polskich, nuty, podręczniki szkolne oraz dzienniki i czasopisma polskie

Ukazała się nowa książka p.t.
"SZUM MŁODOŚCI"
 STEFANA ŁASZKIEWICZA
 Cena 10/6
SKŁADNICA KSIĘGARSKA
 8, Hope Street, Edinburgh.

BARWNA MAPA POLSKI
 wraz ze zwięzłym skrótem statystycznym w języku angielskim i francuskim /umieszczonym na boku mapy/. Format 17½" x 22½" cali, jest już w sprzedaży.
 Cena 2/6
 Cała rozprzedaż tej mapy oddana do Kiosku w Ognisku Polskim w Londynie, 45, Belgrave Square, S.W.1.
 Ze względu na ograniczony nakład, uprasza się o zgłaszanie zamówień jak najszybciej, pod adresem Kiosku.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
 Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
 Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
 Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.
 Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.
 Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

BE TALLER!
INCHES PUT YOU MILES AHEAD!
 Increased my own height to 6ft. 3½ins.
 CLIENTS GAIN 1 to 6 inches
 No Appliances—No Tablets—No Dieting
 Ross System Never Fails
 Fee £2 2s. Complete Details 6d. stamp
MALCOLM R. ROSS
 Height Specialists, BM/Hyte, London, W.C.1